PŁOMYK

4

1983

Idzie wiosna – trzeba kuć!

„Dzięcioł", „kujon" czy też „kowal" – to w szkolnej gwarze przezwiska niezbyt pochlebne. Natomiast leśne dzięcioły cieszą się powszechną sympatią. Oto jeszcze jeden przykład, jak trudno być prorokiem pomiędzy swymi, czyli jak trudno zdobyć uznanie we własnym, również uczniowskim, środowisku.

Czy dzięcioły cieszą się sympatią innych ptaków – trudno odgadnąć. Ornitolodzy twierdzą, że są to ptaki żywe, wesołe, roztropne, ale też ogromnie zadziorne i kłótliwe. Głos dzięcioła – to głośny, podobny do śmiechu okrzyk. Ludzie podziwiają i pochwalają pracowitość dzięciołów słuchając ich miarowego, cierpliwego kucia, cieszą się, że „lekarz drzew" pomaga w ich ochronie przed ukrytymi pod korą szkodnikami. Niektóre ptaki powinny z podobnym zadowoleniem śledzić pracę niezmordowanego dzięcioła, który jest jedynym w naszych lasach wykonawcą dziuplowego budownictwa mieszkaniowego. Przodują w tej działalności dzięcioły czarny i pstry, które – choć nie odlatują – co roku, wczesną wiosną rozpoczynają drążenie kilku dziupli, by w końcu jedną z nich dokończyć i założyć w niej nowe gniazdo, pozostałe zaś, w różnych stadiach zaawansowania robót budowlanych przekazują na potrzeby innych dziuplaków, którym natura nie dała tyle siły w dziobie.

Przodującym kujonem jest największy z naszych dzięciołów, dzięcioł czarny: potrafi wykuć półmetrowej głębokości dziuplę w ciągu kilkunastu dni (bez wolnych sobót i niedziel). To prawda, że ma mocniejszą od innych ptaków budowę czaszki, bardzo twardy dziób i bardzo silne mięśnie poruszające głowę, ale nawet taką głową trzeba tęgo popracować, żeby były rezultaty!

To ostatnie stwierdzenie znakomicie pasuje również do szkolnych „kujonów-dzięciołów". Nic im przecież samo nie przychodzi. Nie należą zresztą przeważnie do tych naj-najzdolniejszych, którzy wszystko chwytają w lot (niestety równie szybko zapominają). Są po prostu pracowici i cierpliwi. Te cechy musi w sobie każdy w jakimś stopniu wyrobić.

A więc pora najwyższa, aby – zanim jeszcze wiosna nastanie – zabierać się do kucia. NIECH KAŻDY KUJE JAK MOŻE, a że go trochę dziób rozboli? Trudno. „Każdy jest kowalem swego losu" – jak powiadają dzięcioły, wydając przy tym wesołe okrzyki. Są to bowiem wesołe kujony – nie jakieś tam pracusie-ponuraki. *(jsk)*

NA OKŁADCE:
Dzięcioł pstry przy pracy
Fot. kolor. Wiktor Pawłowski

Po odbyciu kuracji odmładzającej powróciła do biblioteki uniwersyteckiej w Rostocku (NRD) jedna z największych na świecie książek. Jest to „Wielki Atlas" wydany w 1664 roku. Wymiary atlasu wynoszą 166×204 cm, a ciężar – 120 kg. *(Fot. CAF)*

Fot. Włodzimierz Barchacz

Tak wygląda zrekonstruowany do celów muzealnych tyranozaur, drapieżny gad, który polował na spokrewnione z nim roślinożerne dinozaury. Szkielety tyranozaurów odnaleziono m.in. na pustyni Gobi.

ROWER STALE MODNY!

Kraje skandynawskie pretendują do pierwszego miejsca w świecie, jeśli chodzi o popularność roweru. Futurolodzy uważają, że ten rodzaj transportu stanie się wkrótce poważnym konkurentem samochodów i motocykli. Obecnie w Szwecji jest 5 mln rowerów, a w najbliższych latach liczba ta zapewne się podwoi. Produkcja ich stale wzrasta. Rower staje się coraz bardziej modny i w innych, najbardziej zmotoryzowanych krajach europejskich. Obecnie na całym świecie każdego roku przybywa ponad 50 mln rowerów.

KLIMAT WIELKICH MIAST

Badania klimatu wielkich miast i terenów przemysłowych rozpoczęte przed kilkunastu laty w ZSRR, USA oraz kilku krajach europejskich, ujawniły występowanie na terenach zurbanizowanych i uprzemysłowionych tzw. wysp ciepła, czyli obszarów o odmiennym mikroklimacie. Duże powierzchnie pokryte betonem i asfaltem, niewielkie straty energii na parowanie, zanieczyszczenie powietrza pyłami i gazami oraz dodatkowe ilości ciepła wytwarzane sztucznie przez człowieka zmieniają bilans energetyczny w miastach. Zjawiska te mają wpływ na kształtowanie się specyficznego klimatu miast i terenów przemysłowych.

Na szczególną uwagę zasługuje przeprowadzony w ZSRR tzw. eksperyment zaporoski. Wybrano 700-tysięczne Zaporoże jako typowe miasto przemysłowe. Przez kilka miesięcy było ono poligonem naukowym, na którym sprawdzano wpływ warunków miejskich na klimat i lokalne zjawiska meteorologiczne. W mieście zainstalowano automatyczne analizatory gazów, elektroniczne pyłomierze, lasery do badania chmur i dymów, czujniki romieniowania podczerwieni. Pomiary prowadzone w różnych porach roku, a także przy odmiennych warunkach atmosferycznych wykazały m.in. zależność zapylenia i zadymienia od pory dnia. Największa koncentracja pyłów w atmosferze występowała zawsze w godzinach rannych, a nie – jak sądzono– wieczorem.

Prowadzone w wielu krajach badania i pomiary pozwoliły ustalić pewne wspólne cechy klimatu miejskiego. Charakterystyczny dla „wysp ciepła" w miastach przekraczających 1 mln mieszkańców jest wzrost średnich temperatur powietrza nieraz o 2°C. Wzrost temperatury powoduje obniżenie wilgotności powietrza w warstwie przyziemnej. Mimo to wielkie miasta mają większe zachmurzenie i opady wyższe o ok. 10–15 proc.

Wpływ miejskich „wysp ciepła" na najbliższą okolicę sięga ok. 1,5–5 km od granic zwartej zabudowy miasta.

CMENTARZYSKO DINOZAURÓW

W dolinie Aude w południowej Francji odkryto cmentarzysko dinozaurów. Na jego ślad przypadkowo natrafił myśliwy, którego uwagę zwróciła niezwykłych rozmiarów kość.

Dyrektor zespołu szkół z pobliskiego miasteczka, Pierre Clottes, paleontolog-amator, po stwierdzeniu, że skamielina jest szczątkiem dinozaura, rozpoczął poszukiwania. Zostały one uwieńczone odkryciem ogromnego skupiska kości tych prajaszczurów. Na podstawie pomiarów odnalezionych skamielin określono wielkość żyjących tu niegdyś dinozaurów. W przybliżeniu ich wysokość wynosiła 5–6 metrów.

Dinozaury (nazwa ta znaczy: „straszne jaszczury") pojawiły się około 210 mln lat temu, a zniknęły z powierzchni naszej planety przed 65 milionami lat. W ostatnim stuleciu złoża z bardzo dobrze zachowanymi szczątkami tych gadów odkryto w Belgii, Niemczech, na kontynencie azjatyckim w Mongolii, a także w Ameryce i Afryce Płd.

FANTAZYJNA litera „F" to znak firmowy Jerzego FLISAKA, znany od wielu lat czytelnikom książek i czasopism. Tą jedną literką podpisuje ilustracje adresowane do wszystkich, którzy lubią się śmiać, mają poczucie humoru i satyryczne spojrzenie na świat.

Od 33 lat publikuje swoje ilustracje w „Szpilkach", a od 25 lat coraz to nowi czytelnicy książek i czasopism dziecięcych witają uśmiechem niewyczerpanego w pomysłach Pana „F". Ileż to uśmiechów nazbierało się przez ten czas! W lutym otwarta została w Warszawie wystawa ilustracji Jerzego Flisaka. Z tej okazji przesyłamy mu zbiorowy uśmiech od wszystkich Płomykowców

LUCERNA WYKRYWACZ

Lucerna, pospolita roślina pastewna z rodziny motylkowatych, okazała się cennym pomocnikiem dla pracowników obsługujących wielkie przewody gazowe. Czechosłowaccy specjaliści stwierdzili, że roślina ta może pomagać w ujawnianiu ulatniania się gazu. Przeprowadzili oni eksperyment trwający kilka lat, a polegający na uprawie niedaleko od przewodu gazowego na specjalnym poletku wybranych gatunków roślin. W glebę wpuszczano regularnie gaz z przebiegającego obok przewodu. Najbardziej wrażliwym „wykrywaczem gazu" okazała się lucerna, która już przy oddziaływaniu minimalnej ilości gazu zmienia kolor. W Czechosłowacji wzdłuż przewodów gazowych sadzi się tę roślinę. Przewiduje się, że w przyszłości będą robione ze śmigłowców barwne zdjęcia filmowe tras gazociągów, co usprawni kontrolę ich szczelności.

„Płomyk" wydawany jest przez Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia".
Czasopismo ukazuje się od 1917 r.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Włodzimierz Barchacz (fotoreporter)
Anna Horodecka
Jan St. Kopczewski (redaktor naczelny)
Maria Kozikowska
Wiesława Krajewska (sekretarz redakcji)
Grażyna Minkowska
Ewa Kaja Perkowska
Barbara Wiśniewska
Kalina Zarzycka (redaktor graficzny)

KONKURS MYŚLĄCEGO CZYTANIA

Co powiesz po przeczytaniu tej książki?

Czy znacie te oto dwie najnowsze książki Ewy Nowackiej?

Co macie o nich do powiedzenia?

Czy odnajdujecie w nich siebie i swoje problemy?

Co chcielibyście powiedzieć Autorce na dyskusyjnym spotkaniu?

NA TE PYTANIA oraz na inne, które przyjdą Wam do głowy, odpowiedzcie, biorąc udział w kolejnym KONKURSIE DLA MIŁOŚNIKÓW „MYŚLĄCEGO CZYTANIA". Poprzedni konkurs z tego cyklu ogłoszony w nrze 17 z ub.r. dotyczył powieści Aleksandra Minkowskiego „Dowód tożsamości".

Obie najnowsze powieści Ewy Nowackiej – „DZIEŃ, NOC I PORA NICZYJA" oraz „SŁOŃCE W KAŁUŻY" nie są już niestety do nabycia w księgarniach. Poszukajcie ich w bibliotekach. Kto poprzestanie tylko na lekturze zamieszczonych przez nas fragmentów – nie będzie miał wiele do powiedzenia w dyskusji, choć i te „próbki" dają coś do myślenia. Kto natomiast sięgnie i do innych, dawniejszych, i wielokrotnie wznawianych powieści Ewy Nowackiej – będzie mógł na szerszej płaszczyźnie podyskutować z Autorką. Chcemy przedstawić jej wasze listy i prosić o udział we wspólnej dyskusji.

A WIĘC CZEKAMY na listy z waszymi refleksjami. Nie streszczajcie książek! Nie piszcie też w sposób suchy i ogólnikowy. Próbujcie porównywać własne życiowe doświadczenia z tym, co znajdziecie w książkach Ewy Nowackiej. Wyrażajcie swoje najbardziej osobiste opinie i myśli wywołane lekturą. TERMIN nadsyłania listów z „głosami do dyskusji" upływa z końcem maja 1983 r. Najciekawsze wypowiedzi zostaną wydrukowane, a ich autorzy otrzymają egzemplarze książek Ewy Nowackiej z autorskimi dedykacjami. Listy nadsyłajcie pod adresem: „Płomyk", 00-950 Warszawa, ul. Spasowskiego 4, skr. poczt. 380 – z dopiskiem na kopercie: „Konkurs czytelniczy".

UWAGA!
W następnym numerze zamieścimy najciekawsze głosy uczestników korespondencyjnej dyskusji nad książką Aleksandra Minkowskiego „DOWÓD TOŻSAMOŚCI".

Nikt nie chce być zwyczajny

SŁOŃCE W KAŁUŻY

Fragment powieści

Dlaczego mnie nigdy nie zdarzy się nic nadzwyczajnego? Najwyżej pani kasjerka w Samie zapomni mi wydać resztę albo samochód zahamuje z piskiem opon przede mną i rozzłoszczony głos obwieści całemu światu, że taka przyślepa ofiara losu, jak ja, nie powinna w ogóle poruszać się po mieście, że głowę zostawiłem w domu, zresztą głowa mi niepotrzebna, tylko imbecyl pcha się na jezdnię przy czerwonym świetle. Czasem stłukę butelkę z „Mazowszanką", podpadnę z fizyki (...)

Jedyna nazdwyczajna rzecz, jaka mi się w życiu zdarzyła, to ty, Katarzyno. Przecież mogliśmy się wcale nie spotkać, wystarczyło, żebym zdawał do technikum, jak życzył sobie ojciec, i nie zobaczyłbym cię nigdy nawet z daleka. Mogło się też wydarzyć sto milionów różnych rzeczy, o których nie mam pojęcia, a nie zapisywałbym nocami tych kartek, nie czułbym potrzeby zwierzania się, notowania tego, co ważne dla mnie. Przywykłem do tej nocnej pisaniny. O szyby monotonnie uderzają pecynki przemrożonego deszczu, sieką skośnie niczym bolesny bat szklaną gładzinę, daleko pomruguje wielki czerwony neon. Każdej nocy przyobiecuję sobie, że kiedyś pojadę, aby się dowiedzieć, co głosi ciemności purpurowych migotaniem ten daleki, pulsujący blask.

Więc dlaczego akurat mnie nie zdarza się nic nadzwyczajnego?

Monika jadła lody w Hortexie, łyżeczka lepkiej słodyczy pacnęła pewnemu panu na płaszcz. Ten pan powiedział, że nie szkodzi, a jak to powiedział, okazało się, że to jest Roman Wilhelmi, Zbigniew Wodecki, Daniel Olbrychski czy ktoś w tym guście. Potem ten Wodecki czy Olbrychski zakochał się w Monice i chciał koniecznie, żeby z nim pojechała na tournée. Ale Monika nie miała ochoty, trochę ze względu na szkołę, a trochę dlatego, że obawiała się reakcji rodziny.

Dance kiedyś przyśnił się sprawdzian z matematyki. Przysięgała, że w tym swoim śnie zobaczyła wszystkie trzy zadania identycznie takie same, jak te, które rozwiązywaliśmy w kilka dni później. Fakt, dostała piątkę, chociaż normalnie jest z matematyki kompletna noga z odciskami do pilnego pedikiuru. Od tego czasu miewa przeczucia, patrzy nieprzytomnie w dal i napisała do pani Konarzewskiej w sprawie parapsychologii i w sprawie swoich nadzwyczajnych zdolności.

Robert, jeszcze jak był w podstawówce, znalazł teczkę z bardzo ważnymi papierami. Nie chciał nagrody, ale dostał szczeniaka basset hound od tej pani. Basset-hound ma najbardziej krzywe łapy na świecie i niesłychanie zawadiacki ogon. Pies nazywa się, nie wiadomo czemu, Negro, a powinien nazywać się Uczciwek, Dziękujek, Znajduszek, jakoś tak, żeby przypominać o okolicznościach, w których stał się własnością Roberta.

Marka wzięto na granicy za przestępcę. To niesłychanie długa historia z mnóstwem pasjonujących szczegółów. Jest w niej i rewizja osobista, i milicja, i list gończy, i zatrzymanie do wyjaśnienia, i telefon ojca Marka do kogoś, kto interweniował w tej sprawie, i przeprosiny, gdy wyjaśniło się nieporozumienie. Z każdym miesiącem opowieść staje się bogatsza oraz rozlewniejsza.

Krzysztof w zeszłym roku grał w szachy z jakimś międzynarodowym czempionem i wygrał dwa razy pod rząd. Nieco niejasne są okoliczności tych zwycięstw, czasem słyszymy, że był to pojedynek na stu szachownicach, kiedy indziej – że partia indywidualna. Nieważne. W szachy Krzysztof rzeczywiście gra dobrze, w każdym razie dużo, dużo lepiej niż ja.

Pewnie i tobie, Katarzyno, także wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Tylko mnie nic takiego nie chce się przytrafić. Jeżeli kapnę na kogoś lodami, zostaję zwymyślany, proroczych snów nie miewam, nikt mnie nie wziął za międzynarodowego przestępcę, znaleźć, owszem, znalazłem – około dwustu złotych bilonem rozsypanych na trawniku przed blokiem, do gry w szachy byłem zmuszany przez wujka Romana podczas wakacji przed dwoma laty, wujek regularnie dawał mi mata w kilku posunięciach, strasznie się denerwował, że zupełnie nie usiłuję myśleć, w końcu wyszukał sobie innego partnera, tęgiego pana w szortach, i z nim przesuwał szachowe bierki pod cieniem starej sosny.

Nie wierzę w ani jedną z tych nadzwyczajnych historii, a jeżeli zechcesz mnie cierpliwie posłuchać, spróbuję wytłumaczyć, dlaczego nie mogę żadnej z nich przyjąć z całkowitą ufnością.

Nikt nie chce być zwyczajny. A może nieco inaczej. W naszym wieku każdy czuje się nadzwyczajny. Na pierwszy rzut oka niby normalka, głowa górą, nogi dołem, dziewczyna jak dziewczyna albo chłopak jak chłopak. Pogadasz, też normalka, lubi to samo co wszyscy, lekceważy to samo co inni, Ameryki nie odkryje, prochu nie wymyśli, świata nie rzuci na kolana. Mimo to jest nadzwyczajny. Będąc taki sam, jak wszyscy, czuje swą wyjątkowość, obnosi się z nią, marzy, by i inni zobaczyli go w tym świetle, które spowija go złocistą poświatą.

Czy nie uważasz, że my jeszcze nie mamy życiorysów? Już nie pamiętam, w siódmej czy w ósmej klasie pisaliśmy swoje życiorysy, pisaliśmy je również, ubiegając się o przyjęcie do szkoły średniej. Brzmiały jednakowo: urodziłem się, uczęszczałem do szkoły podstawowej, którą ukończyłem z takim to a takim wynikiem. Urodzili się i ukończyli podstawówkę wszyscy, pewien procent mógł sobie dopisać jeszcze dwa, trzy zdania, na temat swojej aktywności: należałem do harcerstwa, działałem w samorządzie szkolnym, uprawiałem pływanie w klubie, byłem członkiem tych i tych organizacji na terenie szkoły. Jeżeli w życiorysie znalazło się coś innego, nie dotyczyło w najmniejszej mierze naszej własnej biografii, mówiło o rodzicach.

– Klasę czwartą i piątą kończyłem w Algierii, gdzie mój ojciec pracował jako lekarz.

– Kolejno uczęszczałem do szkoły podstawowej w Koninie, Bydgoszczy, Elblągu, Rzeszowie i w Tarnobrzegu. Mój ojciec jest operatorem dźwigów budowlanych, matka elektrykiem.

– Odbyłem podróż statkiem po portach Morza Bałtyckiego. Moi rodzice pracują w żegludze. Ze względu na ich częste nieobecności wychowują mnie obecnie dziadkowie.

Wtedy (teraz zresztą też), słuchając tego rodzaju sformułowań, miałem wrażenie, że autorzy życiorysów dopisują sobie to, czego dokonali ich rodzice. W pewnym sensie, rzecz jasna. A dopisują sobie dlatego, żeby ich strasznie ubogi życiorys jakoś spoważniał i nabrał znaczenia. Być może to głupie, ale wolę po prostu wpisać w odpowiednie rubryki zawód matki i ojca i koniec. Wcale nie z zawiści, nie dlatego, że nie mam się czym pochwalić, mnie to razi, śmieszy i odrobinę złości.

Pewnie, równie dobrze jak ja, znasz te rodzinne licytacje przeprowadzane na zasadzie kontry nie do odbicia, bufiaste przechwałki, przebijanie atutowej karty rozmówcy jeszcze wyższą figurą, pojedynki na słowa, wielkie bitwy na zmyślenia.

– Stryj ma volvo. Fantastyczne! Pozwalał mi prowadzić na bocznych drogach, kiedy byliśmy na Mazurach.

– Och, budujemy daczę. Będzie pergola z winobluszczem i basen.

(Nawiasem mówiąc tymczasem jest tylko budka „Ruchu", dużo piasku i kilka sosenek. W budce „Ruchu" można się schować, kiedy pada, ale trzeba bardzo uważać, żeby nie przewrócić prymusa. Wiem, bo byłem tam w zeszłym roku.)

– Ja noszę tylko oryginalne sztruksy. Mama by mi nawet nie pozwoliła kupić w Juniorze. Mama wszystkie swoje rzeczy kupuje za granicą, nasze nie mają tego kroju. No, i gatunkowo...

– Studia jakbym miał w kieszeni. Dziadek zna dziekana. Zresztą dziadek, jeśli chce, może wszystko załatwić.

(Pewno i te trójki, bo chwalący się ma trójki od góry do dołu. Przepraszam, jest jedna piątka. Z wf.)

– Bułgaria? Kto teraz jeździ do Bułgarii? My wybieramy się do Grecji albo do Włoch. Zobaczyć Neapol i umrzeć, no nie?

– Miałbym większą ochotę na Tajlandię. Egzotyka, rozumiecie? Rodzice obiecali, że jak zdam maturę...

Naokoło stolika siedzą pokerzyści, nieporuszone, nieprzeniknione twarze, usta ścięte w wąską kresę, spojrzenia twarde jak kamień. Ten dobiera dwie karty, tamten trzy, ów czyni odmowny znak, nie trzeba, w porządku. Ma fula? Kolor? Pokera? Speszeni gracze pasują, pozwalając zagarnąć mu pieniądze, i może nie dowiedzą się nigdy, że wygrywający miał w kartach tylko jedną parę: dwa walety.

Coś takiego jest z tymi pojedynkami na samochody, dacze, wpływowych krewnych, dalekie podróże, wygrywa ten, kto najbezczelniej zablefuje. Tylko nie wolno się krępować, zastanawiać, że ktoś wie, jak jest w rzeczywistości, należy mieć taką minę, jakby się miało w ręku najlepsze karty na świecie. Włochy przebija się Tajlandią, fiata mirafiori mercedesem, sztruksy z komisu futrem z norek.

Właściwie, po co my to robimy, Katarzyno? Napisałem „my", chociaż tego nigdy nie robię, nie zauważyłem też, żebyś ty zabawiała się w te licytacje, ale nie bez powodu użyłem zaimka „my" zamiast „oni". Ostatecznie bez żadnych protestów słuchamy tych przechwałek, nawet trochę dajemy wiarę, czujemy w sercu lekkie piknięcie zazdrości. Czemu to Monika, a nie ja, będzie miała własny, najwłaśniejszy basen, czemu Robert pojedzie do Tajlandii, podczas gdy ja najwyżej wybiorę się na obóz wędrowny albo na spływ kajakowy Krutynią?

Bo chcemy sobie dodać ważności, Katarzyno. Jeszcze nie zdołaliśmy zrobić nic w życiu, nie możemy nawet bezstronnie ocenić samych siebie, ale już chcemy być nadzwyczajni. I nie przychodzi nam do głowy nic lepszego dla stworzenia owego klimatu nadzwyczajności, jak chwalenie się czymś, co można kupić za pieniądze lub zdobyć za pomocą znajomości. Z tego jasno by wynikało, że Kopernik byłby wart dużo więcej, gdyby – zamiast trząść się na grzbiecie ordynarnego stępaka – podążył na włoskie studia w poszóstnej karecie zaprzężonej w mantuańskie bieguny o fryzowanych ogonach i grzywach przeplecionych sznurami pereł (gdzieś czytałem, że w czasach Kopernika książę Mantui miał najlepszą stadninę w ówczesnej Europie, zresztą nieważne, chodzi zupełnie o coś innego). Albo Einstein byłby bardziej godny podziwu, gdyby – nie zawracając sobie głowy teorią względności wzniósł, powiedzmy, na Hawajach rezydencję w stylu gotyckim, z podświetlanym basenem napełnionym perfumowaną wodą. A czy Marii Skłodowskiej nie dodałoby znaczenia, gdyby zjawiała się w laboratorium w najmodniejszych sukniach, z których każda kosztowałaby majątek?

Bzdura, odpowiesz. Kretynizm, odpowiedzą. Bałwaństwo do sześcianu, zgodzą się wszyscy.

Później, stwierdziwszy oczywistość, wrócą do tej swojej licytacji.

Ten sam cel mają owe nadzwyczajne zdarzenia. Wymyśla się je po to, żeby sobie dodać ważności. Monika chce udowodnić, że jest wyjątkowo wrażliwa, Robert – bezinteresowny, Krzysztof – genialny (ogólnie wiadomo, że geniusze w młodości lubią grać w szachy). Co chce zasugerować Marek, nie mam pojęcia, chociaż Marka znam od zawsze i od zawsze się z nim przyjaźnię. Pozornie nie ma nic pochlebnego w fakcie, że ktoś jest podobny do poszukiwanego listami gończymi przestępcy. Ale zważywszy dużą częstotliwość odtwarzania tej historii i zapał, z jakim jest przekazywana, przypuszczam, że Marek czuje się zadowolony z tej pomyłki, ucieszony, iż wzięto go za kogoś innego.

Nie wykluczam, że u podstaw każdej z tych opowieści leżały pewne prawdziwe fakty, które zostały odpowiednio zmienione i przeporządkowane, by służyć nakreśleniu takiego portretu, jaki jest potrzebny opowiadającemu. Żeby przez moment chociaż zobaczyć w cudzych oczach podziw, usłyszeć pełne zazdrości westchnienie, poczuć się kimś lepszym, odmiennym, przeznaczonym nie do szarości powszedniej, a do losów niezwykłych.

Od szesnastu lat przyglądam się ludziom, to mało i dużo zarazem. W każdym razie dostatecznie długo, żebym mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że niezwykłość kryje się w ś r o d k u. Prawdziwej niezwykłości nikt nie obnosi na zewnątrz.

EWA NOWACKA

Ilustr. Wiktor Sadowski

Nieznajomy z mostu

Uliczka jest bardzo wąska, idzie się środkiem jezdni. Wszyscy tak chodzą, więc i Róża też. Wylot zamyka brzuchaty mur baszty. Za to za basztą nagle otwiera się zielony plac z drzewami i skwerem pełnym róż.

W kinie grają „Dziewczynę z reklamy" (odpada, dozwolone od osiemnastu), „Kota o dziewięciu ogonach" (odpada z tych samych względów) i „Godzillę contra Hedorę". Róża nie przepada za potworami z plastyku, pod których stąpnięciem morze występuje z brzegów, ale na wszelki wypadek zapamiętuje godzinę seansu.

Nie pytając nikogo o drogę, bezbłędnie trafia do mostu na rzece, przez chwilę przechyla się ku wodzie, prawie kładąc się na poręczy mostu.

– Wpadło ci coś czy zamierzasz wykonać efektowny samobójczy skok? – Jak Róża nie znosi chłopaków, którzy zaczepiają dziewczyny. – Jeżeli tak, ostrzegam, woda jest płytka, za to błota ze dwa metry.

Prostując się godnie przy balustradzie, Róża odpowiada tak, jak należy odpowiedzieć:

– Przepływaj, nie twoja sprawa.

– Poczekam, aż skoczysz w odmęty.

– Po co?

– Dawno mam ochotę na medal za ratowanie tonących.

– To nie dostaniesz. I nie wiadomo, kto lepiej pływa, ja czy ty.

Odpowiadała mu nieprzyjaźnie, obrócona prawie tyłem, ale widziała doskonale, że starał się ukryć za sobą plastykową torbę, w której widniały dwie kostki masła, długa bułka i pęczek marchwi. Znalazł się podrywacz z pęczkiem marchewki!

– Jeszcze tu jesteś? – udała, że dopiero teraz to zauważyła. – Myślałam, że już przepłynąłeś.

– Dobra, już idę. Gdybyś się nie przewieszała przez poręcz, nie powiedziałbym do ciebie jednego słowa. Bo i po co?

To już było powiedziane prawie nieprzyjaźnie. Chłopak obrócił się na pięcie i odszedł w stronę rynku. Najwidoczniej uznał, że Róża nie jest kimś, przed kim warto ukrywać plastykową torbę, niósł ją teraz nieomal ostentacyjnie, niczym bojowy sztandar, groźnie powiewała zielona nać marchewki.

Nie zawracając sobie głowy humorami nieznajomego, po wydeptanych schodkach Róża zeszła do parku, gdzie przyjaźnie wabiły błękitnawe cienie. Park jak park, wózki z niemowlakami, babcie i dziadkowie na ławkach, dwie zagadane panie przed fontanną tryskającą z czterech rogów skąpymi strumykami wody, po stawie z fontanną żeglował niesłychanie poważnie jeden, jedyny łabędź.

– Był drugi, był. – Zagapienie Róży ktoś wziął za namysły nad samotnością łabędzia. – Ale go chuligani zabili kamieniami. Co to za młodzież teraz!

Przez moment Róża wyobraziła sobie chłopaka, który do niej zagadał, ściskającego w dłoni kamień. Nie, on by nie mógł zrobić czegoś takiego, na pewno by nie mógł. Właściwie dlaczego się na niego obraziła?

– Bo nie lubię. – Nie wiedziała wcale, czego nie lubi. Czy akurat tego chłopaka, czy zagadywania, czy w ogóle towarzystwa kogoś nieznajomego? Wystarczy, że nie lubi.

Tutaj, pod płaszczem liści, było chłodniej, chociaż zbliżało się południe. Przydałby się zegarek. Starsi państwo, u których spędza wakacje, na pewno przestrzegają punktualności. W zeszłym roku Róża na kolonii spóźniła się na kolację, ot, niewiele, pół godziny, a gadania było tyle, że śmiało mogłaby spóźnić się ze trzy dni.

– Przepraszam, która godzina?

Zagadnięty uniósł ku oczom zegarek na grubym łańcuszku, pstryknął palcem w kopertę i ogłosił:

– Za siedemnaście dwunasta. Czas gwarantowany. To, moja panienko, prawdziwy „patek", minuty się nie pospieszy ani nie spóźni.

Ma jeszcze niecałe dwie godziny. Trzeba ze dwadzieścia minut liczyć na powrotną drogę, a może trochę więcej, jeszcze coś jej się pokręci, chociaż jest prawie zupełnie pewna, że potrafi z zawiązanymi oczami trafić do dziury w płocie. Dziura w płocie? Co za pomysły, żeby przechodzić przez dziurę w płocie, a nie, jak wszyscy ludzie, furtką!

Zobaczę pływalnię – postanowiła.

Pływalnia była właściwie prawie w parku. Zza wysokiego parkanu wypiętrzała się trampolina, słychać było nawoływania i plusk wody.

Ogromnie głupio stać pod tym parkanem – bez pięciu złotych na wstęp i bez kostiumu pozostawionego w torbie. Tym głupiej, że nagle usłyszała:

– Może teraz zobaczymy, kto lepiej pływa?

To był znowu tamten chłopak z mostu, tylko że już bez plastykowej torby.

Jasnowłosy, wysoki, podobny trochę do Krzyśka z VIII b. Tym razem Róża przyjęła jego słowa jako coś najnaturalniejszego. Ostatecznie znali się już, to znaczy w pewnym sensie znali, coś już wiedziała o nim, chociażby to, że łatwo się obraża.

– No co, idziesz popływać czy nie idziesz?

Róża wyczekała chwileczkę, nim odpowiedziała.

– Nie idę.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę. Coś ci się nie podoba?

– Ktoś mi się nie podoba. Konkretnie ty.

– Nawzajem.

Po tych nieprzyjaznych oświadczeniach zapadła niezręczna cisza. Jeżeli Róża odejdzie teraz, nieznajomy nigdy nie odezwie się już do niej. Róża wie to na pewno i, co najdziwniejsze, wcale tego nie pragnie. Wolałaby pójść z tym chłopakiem na pływalnię, ale przecież nie może. Jak wejść na pływalnię – bez pięciu złotych i bez kostiumu?

– Możemy zrobić zawody po obiedzie – decyduje się nagle. – Przyjdę tu koło czwartej. Będziesz?

Nos chłopaka marszczy się śmiesznie, nie wiadomo, czy

z radości, czy z zaskoczenia propozycją Róży. A może to jest uśmiech?

– Dobra, będę.

– Poczekaj, jakbym się spóźniła.

Nie mówi, gdzie ma poczekać, ale to zupełnie jasne, że w tym miejscu, gdzie teraz stoją. On to także rozumie i nie pyta o nic.

* * *

Chociaż czekał na umówionym miejscu, udawał, że nie widzi nadchodzącej Róży, bardzo zajęty przetaczaniem noskiem trampka jakiegoś kamyka.

– Cześć.

– Cześć – pozdrowił ją takim samym tonem.

Pływalnia była nieduża. Ot, basenik, trampolinka, a naprzeciwko trampoliny zjeżdżalnia dla dzieci. Tam było najgwarniej i najtłoczniej. Mała dziewczynka wrzeszczała wniebogłosy, kiedy chłopcy ochlapywali ją wodą.

Rzecz jasna, Róża z pogardą ominęła płyciznę przeznaczoną dla maluchów; stanąwszy na słupku startowym, rozejrzała się od niechcenia, ale on jeszcze nie wyszedł z szatni.

Nie ma obawy, znajdzie się – pomyślała i już była w wodzie.

Skoczył jej prawie na głowę, a w każdym razie tak, żeby wywołać jak największą falę. Potem nie spojrzawszy, co się stało z Różą, popłynął delfinem wynurzając się do pół ciała po każdym uderzeniu ramion, robił bardzo dużo plusku, rozbryzgiwał wokół jasne bryzgi wody, słabsi pływacy pospiesznie umykali z drogi rozpędzonej torpedzie.

Dopłynął do schodków, jednym susem wyskoczył z basenu i wybiegł na trampolinę. Przez moment ważył się stojąc na czubkach palców, nim skoczył. Wyszło mu, rzeczywiście wyszło, wsunął się w toń, woda zamknęła się nad nim bezszelestnie, tylko rozchodzące się kręgi wskazywały miejsce skoku.

– Skaczesz?

Spotkali się przy schodkach, potrząsał głową, pewno nalało mu się do ucha.

– Ja ze skokami nie bardzo – przyznała się uczciwie. – W ogóle pływam średnio.

– Krytą żabę masz pierwszorzędną. – Więc jednak widział poczynania Róży, chociaż mogło się wydawać, że ani razu nie spojrzał w jej stronę. – Jak na dziewczynę, można powiedzieć, pierwszorzędną, superekstra.

– Z tobą się nie będę próbowała. Jesteś lepszy.

Usiedli na krawędzi basenu, prawie przy samych schodkach. Jakiś pan uczył pływać bardzo tęgą panią, która rozpaczliwie czepiała się jego ramion i po każdej samodzielnej pływackiej próbie nieodmiennie szła pod wodę.

– Jak ci na imię?

– Marek. A tobie?

Właściwie umówiła się z koleżankami, żeby nazywały ją Beta, było to zdrobnienie od Beaty – bo na drugie miała Krystyna, tą Krystyną także nie była zachwycona, chociaż brzmiało sto razy lepiej niż Róża. Prawdę powiedziawszy, każde imię było lepsze od Róży, może z wyjątkiem jakiejś Praksedy, Scholastyki czy Perpetui.

– Jak ci na imię? – powtórzył nie wiedząc, że Róża rozważa sprawę swojego imienia. Chciałaby, żeby zabrzmiało jakoś odświętnie, inaczej, żeby pasowało do dnia pełnego słońca i radości.

– Róża.

Dlaczego podała to imię, którego się wstydziła? Mogła przecież powiedzieć, że się nazywa Agnieszka albo Imogena, Glencora lub Wioletta, wiele imion jej się podobało, więc czemu podała to jedno, którego nie znosiła, chociaż było i jest jej prawdziwym imieniem?

– Fajnie. A skąd przyjechałaś?

– Skąd wiesz, że przyjechałam?

– Znałbym cię z widzenia.

– Wszystkich znasz z widzenia?

– Pewnie.

– Coś ty! – żachnęła się. – Ja nawet nie znam wszystkich z naszego osiedla.

– U nas jak ktoś kichnie na Zarzecznej, to mu na Dolnej mówią na zdrowie. W takiej dziurze trudno się nie znać. Są trzy podstawówki, jeden ogólniak, jedno technikum i zespół szkół zawodowych, tyle całej parady. Ale cię zbujałem, bo nie znam wszystkich, tylko prawie wszystkich.

Zsunął się do basenu i przytrzymując się krawędzi zaproponował:

– Spróbujemy się żabą. A co do tego znania, to ciebie na pewno bym zauważył.

– Dlaczego?

– Zaraz: dlaczego? Za dużo chciałabyś wiedzieć. Powiedzmy, że jestem spostrzegawczy. Przyjechałaś z Warszawy?

– Z Warszawy.

– No, widzisz. Mogę ci nawet powiedzieć, skąd wiem. Po twojej koszuli, takie były tylko w „Juniorze". Moja siostra ma taką samą, nawet usiłowałem od niej wyłudzić, ale nie dała. Proste?

– Proste – zgodziła się Róża.

No, więc spróbowali, kto lepiej pływa żabką. Na pewno Marek był szybszy, ale jakoś tak wyszło, że Róża pierwsza dotknęła ściany basenu.

– Wygrałaś!

– To się nie liczy. Mogłeś mnie prześcignąć, jakbyś chciał.

– Widocznie nie mogłem, jeżeli nie prześcignąłem.

– Ale ja nie lubię wygrywać nieuczciwie!

– To ci się chwali. Nic się nie martw. Jak jutro przyjdziesz tutaj, pobiję cię o trzy długości.

– Skąd wiesz, że przyjdę?

– Nie wiem. I dlatego pytam, czy przyjdziesz.

Ze zdziwieniem Róża uświadomiła sobie, że czuje tak, jakby tego Marka znała od bardzo dawna. Z innymi chłopakami nie było o czym rozmawiać, zawsze ich gadanie skręcało na piłkę nożną, samochody albo na kosmonautów. Najznośniejszy ze znanych jej chłopaków potrafił cytować z pamięci wszystkie zestawienia zespołów ligowych, znał życiorysy piłkarzy, a po każdej niedzieli miał w głowie wszystkie wyniki meczów. Inni byli jeszcze gorsi. A z Markiem rozmawiało się jak z dobrą koleżanką, prawie jak z Dorotą.

– Co ty, śpisz z otwartymi oczami? Obudź się.

– Myślę.

– O czym myślisz?

– O różnych rzeczach. Poczekaj, która godzina?

– Mój budzik zostawiłem w szatni. Rzadko się kąpię z zegarkiem. Jak chcesz, to podskoczę i zapytam.

Wrócił po chwili.

– Za dwadzieścia szósta.

– O rany! Muszę pędzić.

– Zostań jeszcze trochę.

– Nie mogę.

– Taką masz srogą ciotkę?

– Żebyś wiedział.

– W porządku. Familia to familia, znana sprawa. Chcesz, to cię odprowadzę.

Jeszcze nigdy nikt nie odprowadzał Róży tak naprawdę. Zdarzało się, że wracała ze szkoły z którymś z kolegów, ale zwykle chodziło o pożyczenie książki albo o przepisanie zadania. Z kina czy ze szkolnej dyskoteki wracali całą gromadą, po

Ilustr. WIKTOR SADOWSKI

drodze rozchodząc się do swoich bloków. Nie znaczyło to wcale, że ktoś specjalnie odprowadzał Różę, po prostu szli razem, i to wszystko.

– Sama trafię – powiedziała, chociaż chciała, żeby ten dzień trwał dalej, a z odejściem Marka już przecież nie mógł być taki, jak dotąd.

Ale kto wie, czy tamci państwo nie wypatrują jej powrotu? Może nie podobałoby im się takie odprowadzanie? Może chcieliby wiedzieć, jak i gdzie Róża poznała Marka?

I zaczęła się bardzo spieszyć, tak spieszyć, że nawet nie rzuciła pożegnalnego „cześć".

– Nie zapomnij o pantofelku! – zawołał w ślad za nią, gdy już prawie biegła z ręcznikiem przerzuconym przez ramię i mokrym kostiumem w ręku.

Początkowo nie zrozumiała, dopiero za mostem pojęła, że w ten sposób została porównana do uciekającego z balu Kopciuszka, który zostawił na zamkowych schodach maleńki pantofelek lśniący niczym klejnot. Czy jakiś inny chłopak mógłby coś takiego wymyślić? Nie, nie mógł!

* * *

Na umówione miejsce wcale nie jest daleko, jak się zna drogę, można nawet powiedzieć, że jest zupełnie blisko. To zabawne, że Róża tak prędko się przyzwyczaiła do tego nieużego, czystego miasta, jeszcze wczoraj wydawało się obce, a dzisiaj jest już swoje własne. O, tu jest sklep, a zza rogu zobaczy się most i wszystkie groźne znaki drogowe, zakazujące i nakazujące, za mostem trzeba będzie skręcić w lewo, zanurzyć się w cieniach parku, minąć samotnego łabędzia żeglującego z uniesionymi skrzydłami, białymi i puchatymi jak małe obłoczki.

– Idziemy pływać? – pyta Marek.

– Wolałabym pochodzić.

– A konkretnie?

– Kiedy nie konkretnie, tylko w ogóle. Mógłbyś mi zaproponować coś ciekawego. Ty tutaj mieszkasz, nie ja.

– Co już widziałaś?

– Rynek, farę i tę basztę, która jest niedaleko kina.

– Hm, można podsumować, że program turystyczny masz prawie wyczerpany, ale zdaj się na mnie, coś jeszcze dla ciebie wymyślę, coś zupełnie ekstra.

Trudno powiedzieć, o czym rozmawiali idąc niespiesznie ulicami, Róża mówiła coś, śmiała się, oburzała, zaprzeczała czemuś i z czymś zgadzała, to ogarniał ją znów smutek, to uczucie jakiejś wewnętrznej lekkości, wydawała się sobie samej nieważka i lekka niczym puszek mleczu, wystarczyłoby rozłożyć ramiona, żeby pofrunąć nad najeżone antenami dachy i nad czuby starych akacji.

– Szkoda, że nie mieszkasz tutaj. Wyjedziesz i nie będę miał do kogo otworzyć ust.

– Nie masz kolegów?

– Mam.

– To będziesz rozmawiał z nimi.

– To nie jest to samo.

– Dlaczego?

– Dlatego – machnął ze zniecierpliwieniem ręką. – Czy wiesz, jak jest, kiedy się kogoś dopiero poznało, a wydaje się, że go się bardzo dobrze zna?

– Wiem.

Róża miała zamiar zaprzeczyć, niech Marek nie wyobraża sobie, że już są zaprzyjaźnieni, lepiej będzie, jeżeli mu tego zaraz nie powie, ale tamto przyznanie wypowiedziało się jakoś poza nią, jakby po prostu nie można było niczego udawać.

– Skąd wiesz?

Żeby odpowiedzieć zgodnie z zamiarem nieujawniania prawdziwych uczuć, Róża oddycha głęboko i potem odrzuca głosem sztucznie zgrubiałym i nie swoim:

– Bo mnie się tak nieraz zdarzyło.

– Co się zdarzyło?

– Że poznałam kogoś i zaraz się zaprzyjaźniłam.

– To ładnie, że tak łatwo nawiązujesz kontakty międzyludzkie. Mnie to idzie raczej nieszczególnie.

Podczas tej wymiany zdań zwolnili, wlekli się noga za nogą, aż przystanęli.

– Co się stało?

– Nic. Chyba nie musimy iść dalej.

– Jak to?

– Tak to. Znajdziesz sobie kogoś ciekawszego do wspólnego zwiedzania.

– No, coś ty! – Obraziła się, brwi Marka zmarszczyły się gniewnie, środek czoła przecięła ostra zmarszczka. – Co cię ugryzło?

– Nic.

Tak naprawdę Róża rozumiała nagły żal Marka, sama byłaby wściekła, gdyby się dowiedziała, że ich spotkanie nie jest czymś niezwykłym, tylko jednym z wielu, wielu podobnych spotkań: chłopak zaczepia dziewczynę, potem się umawiają, a jeszcze później on opowiada komuś, że poznał taką jedną z Warszawy, ona zaś opowiada koleżankom, że poderwała chłopaka. I tyle. To nie może być tak, tego właściwie nie wolno nawet pomyśleć.

– No, to cześć.

– Poczekaj, ja się wcale z nikim nie zaprzyjaźniłam, tylko tak mi się powiedziało.

Nie wiadomo było, czy uwierzył, czy nie, wiercił noskiem trampka w chodnikowej płycie.

– Czemu nic nie mówisz?

– A co mam powiedzieć? – odrzucił pytaniem na pytanie i nagle prawie się poskarżył: – Tak się cieszyłem, że przyjdziesz.

– Przecież przyszłam.

– Wczoraj byłaś inna. Równiejsza.

Jak wytłumaczyć Markowi, że owo wczoraj jest dalekie jak światło najdalszej gwiazdy, że po tym wczoraj wydarzyło się tyle różnych rzeczy, że Róża nie może już być taką, jak była. Że od wczoraj, jeżeli nie zmieniło się wszystko, to przynajmniej zmieniło się bardzo wiele, chociaż jeszcze nie wiadomo, czy to dobrze, czy źle.

Najlepiej jest milczeć, kiedy samej nie rozumie się niczego do końca. Jak dzielić się z Markiem ćwierćprawdą, półprawdą, niejasnymi jeszcze domysłami, tak dziwnymi, że trudno je wypowiedzieć głośno? Czy Marek mógłby zrozumieć to, co się zdarzyło w ciemnych pokojach starego domu między Różą a trojgiem starych ludzi: kruchą bladą kobietą, siwym panem i przygarbioną Natalią?

– Od wczoraj dużo rzeczy się zdarzyło – ryzykuje Róża, jeżeli Marek spyta, co się zdarzyło, może spróbuje podzielić się z nim tym, o czym myśli, ale on o nic nie pyta, idzie ze spuszczoną nisko głową, jakby widział coś niezmiernie interesującego w szarości chodnikowych płyt.

– Nie umiem... – Przerywa i nagle wyrzuca z siebie prawie z rozpaczą: – Nie umiem raz się z kimś przyjaźnić, a raz się z tym kimś gniewać, no, nie umiem i już.

Róża także tego nie potrafi, ale milcząco słucha oskarżenia.

– Tylko wam, dziewczynom, to nie sprawia różnicy. Jednego dnia dałybyście się porąbać na kawałki za swoją przyjaciółkę, a na drugi dzień oświadczacie, że ta wasza przyjaciółka jest głupia, fałszywa i nigdy jej nie lubiłyście, i jeszcze opowiadacie o niej takie historie, że aż uszy bolą od słuchania.

Tak, Marek mówi o sprawach dobrze znanych Róży, sama widziała wiele dziewczyn, które przyjaźniły się na śmierć i życie, a pewnego dnia dochodziło do kłótni o długopis albo o rzekomo niesprawiedliwy stopień z klasówki, i cześć pieśni. Mogła to być zresztą kłótnia o cokolwiek – to nie było ważne, jak się kończyła przyjaźń, ważna była nienawiść złośliwa i głupia, którą niedawne przyjaciółki zatruwały sobie nawzajem istnienie. Tylko że Róża nie należy i nie należała nigdy do takich, które rzucają się w przyjaźń na oślep i bez zastanowienia. Dotąd zawsze wybierała z rozwagą swoje koleżanki, musiały mieć te zalety, których brakowało jej samej i które podziwiała, nie przyznając się zresztą do tego podziwu. I właściwie ta nieoczekiwana przyjaźń z Markiem była jedyną tego rodzaju sprawą, wystarczyło, żeby zamienili trzy zdania na krzyż, i Róża przybiegła na pływalnię ciesząc się nie wiadomo czemu na to spotkanie.

Przykro, że Marek ocenia ją tak, jak jakieś nieznane dziewczyny, ale nie będzie zaprzeczała i tłumaczyła się, co to, to nie. Róża jest ambitna, jeżeli się komuś nie podoba jej towarzystwo – to się obejdzie. Niech on sobie nie wyobraża, ten cały Marek, że Róża zacznie go prosić, aby spróbował ją zrozumieć. A w ogóle ciekawe, jak by on się zachowywał, gdyby mu było dane przeżyć to samo, co Róży? I czy człowiek czasami nie musi się zastanawiać nad czymś własnym, zamiast mleć ozorem byle co? Róża ma się nad czym zastanawiać, fakt.

– Dlaczego byłam wczoraj równiejsza? – pytanie zadaje trochę wbrew sobie.

Nie jest to wcale łatwe pytanie dla Marka, ma taki wyraz twarzy, jaki się widuje u kogoś znienacka wyrwanego do odpowiedzi, marszczy czoło, pociera wierzchem dłoni policzek, jakby w nadziei, że ten gest podsunie mu potrzebne słowa.

– No, dlaczego? – ponagla Róża.

– Byłaś wesoła. Wiedziałem, że się nie nudzisz – może jest to niezupełnie to, co chciałby powiedzieć, ale układa tę swoją odpowiedź bardzo poważnie i z namysłem.

– Dzisiaj się nudzę?

– Chyba tak.

– Wcale się nie nudzę, jeśli chcesz wiedzieć.

– Ale wyglądasz.

– Na co wyglądam?

– No, jakbyś chciała czym prędzej być sama, żebym sobie poszedł i w ogóle.

– Też wymyśliłeś.

– Nic nie wymyśliłem, bo tak jest.

Najnieoczekiwaniej Róża zaczyna się śmiać, ni z tego, ni z owego robi jej się niedorzecznie wesoło. Czy ci chłopcy nie są śmieszni ze swoimi pretensjami bez żadnych powodów? W dodatku Marek wygląda zabawnie z tymi buntowniczo sterczącymi kogutkami włosów i ze spojrzeniem w dalszym ciągu utkwionym w noski własnych butów.

– Z czego się śmiejesz?

– Bo mi wesoło.

Przez chwilę wydaje się, że Marek obróci się na pięcie i najzwyczajniej ucieknie, lecz nagle i on zaczyna się śmiać razem z Różą.

– Czemu my się właściwie kłócimy?

Na to pytanie nie ma sensownej odpowiedzi, kłócą się przecież od początku, od momentu poznania się na moście (Jakim tam moście? Mostku!), chyba tak po prostu już musi być między nimi, dużo, dużo czarnych, chociaż niegroźnych chmur i króciutkie błyski słońca, a jeżeli tak musi być, to nie ma się czym przejmować.

EWA NOWACKA

CO SIĘ STAŁO Z ORDONEM?

Każdy, kto ma w pamięci znany wiersz Adama Mickiewicza „Reduta Ordona", odpowie natychmiast: zginął, wysadzając się w powietrze wraz z garstką obrońców na szańcu wolskim w czasie powstania listopadowego w 1831 roku. Takim wyczynem bohatera kończy się bowiem mickiewiczowska „Reduta" i taki obraz jego śmierci utrwalił się w pamięci tysięcy czytelników, i to zarówno tych pierwszych, którzy czytali wiersz 150 lat temu, jak i tych z następnych pokoleń.

LEGENDA I PRAWDA

W rzeczywistości Ordon nie zginął pod gruzami wolskiej reduty, lecz okaleczony i kontuzjowany – został wzięty do niewoli rosyjskiej jako ranny żołnierz. Później udało mu się umknąć z Warszawy i przez przeszło 50 lat tułał się po świecie, walcząc o wyzwolenie innych uciskanych narodów. Jak to się więc stało, że Mickiewicz „uśmiercił" Ordona?

Zanim odpowiemy sobie na to pytanie, spróbujmy odwołując się do wspomnień uczestników walki oraz do opinii historyków i pamiętnikarzy wyobrazić sobie, jaki przebieg miała obrona stolicy we wrześniu 1831 r.

Z początkiem września 1831 r. armia carska pod dowództwem gen. Iwana Paskiewicza zaczęła oblegać Warszawę, a 6 września nastąpił szturm wojsk rosyjskich od strony Woli i Szczęśliwic. Na zewnętrznym pierścieniu polskiej obrony znajdowały się od zachodu 4 wysunięte naprzód ufortyfikowane szańce-reduty. Jedna duża reduta usytuowana była wokół kościółka wolskiego, bronił jej Józef Longin Sowiński, a 3 mniejsze forty rozmieszczone były równolegle.

Dowódcą jednego z tych trzech fortów (Nr 54), był właśnie kapitan Julian Konstanty Ordon. Wśród obrońców sąsiedniej reduty znalazł się w owym dniu walki poeta i przyjaciel Adama Mickiewicza – Stefan Garczyński. I on to obserwował przebieg ataku. Na redutę Nr 54 – liczącą 300 osób załogi, uderzyło (po artyleryjskim obstrzale) 21 batalionów rosyjskich pod dowództwem generała Krentza, czyli 11 400 bagnetów. Na dobrą sprawę – przy stosunku 40 atakujących na 1 żołnierza-obrońcę – o żadnej walce nie mogło być mowy. I tak też było – jak niektórzy pamiętnikarze podają. Nim się ktokolwiek zdążył obejrzeć – fort Nr 54 ostrzeliwujący się – zalany został nawałą nieprzyjaciół. I wtedy właśnie, gdy... „w szaniec nieprzyjaciół kupa już lazła, jak robactwo na świeżego trupa" – nastąpił potężny wybuch. Reduta Nr 54 od wewnątrz została wysadzona wraz ze składem prochu i amunicji (mieszczącym się w podziemiach), grzebiąc polskich obrońców i kilkuset nieprzyjaciół.

„Reduta Ordona" – obraz Jerzego Kossaka

Kto wysadził redutę i co stało się z Ordonem, jej dowódcą, i innymi obrońcami, nikt początkowo nie wiedział. Sądzono, że prawdopodobnie wszyscy zginęli. Nazajutrz generał Krukowiecki poddał Warszawę, a wojsko polskie wycofało się na Pragę, by zdążać ku granicy pruskiej i pójść na emigracyjną tułaczkę. Wśród wycofujących się wojsk polskich znajdował się wspomniany już Stefan Garczyński, adiutant generała Umińskiego. Udało mu się dotrzeć szczęśliwie wraz z innymi uczestnikami walk do Drezna, gdzie spotkał się z przebywającym tam Adamem Mickiewiczem. Należy przypuszczać, że powstanie i obrona Warszawy były tematem niejednej rozmowy przyjaciół. Opowiadanie o Ordonie, bohaterskim obrońcy reduty Nr 54, znalazło więc swoje poetyckie odbicie. Na przełomie marca i kwietnia 1832 r. Mickiewicz przebywał w Dreźnie i wtedy napisał „Redutę Ordona", a opublikował ją na końcu II tomu „Poezji" Stefana Garczyńskiego, wydanego w rok później w Paryżu. Czytamy na wstępie: „Wiersz ten pisany pod wpływem opowiadań Stefana Garczyńskiego, umieszczam między dziełami przyjaciela – jako wspólną naszą własność. Poświęciłem go ostatniemu wodzowi polskiemu, który o sprawie naszej nie rozpaczał i do końca chciał walczyć. Tym ostatnim wodzem był gen. Jan Umiński, a jego adiutantem właśnie przyjaciel poety Stefan Garczyński. To on zdaje się przemawiać w wierszu Mickiewicza:

„Nam strzelać nie kazano. – Wstąpiłem na działo
I spojrzałem na pole; dwieście armat grzmiało.
Artyleryi ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko – jako morza brzegi;
I widziałem ich wodza: – przybiegł, mieczem skinął
I jak ptak – jedno skrzydło wojska swego zwinął;
Wylewa się spod skrzydła ściśnioną piechota
Długą, czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagnetów...

..Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostrzona,
Jak głaz bodzący morze, reduta Ordona.
Sześć tylko miała armat; wciąż dymią i świecą.
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpaczy,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy".

Należy podziwiać talent i opowiadający, i kunszt poetycki Mickiewicza, który – nie biorąc bezpośredniego udziału w żadnej bitwie – potrafił ją tak bardzo obrazowo, dynamicznie i sugestywnie odtworzyć w swym wierszu. Opowieść przeplata od czasu do czasu refleksja poety: „Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?" A ukazawszy obrazy bezprawia carskiego, poeta patrzy znów oczyma Garczyńskiego na resztkami sił broniącą

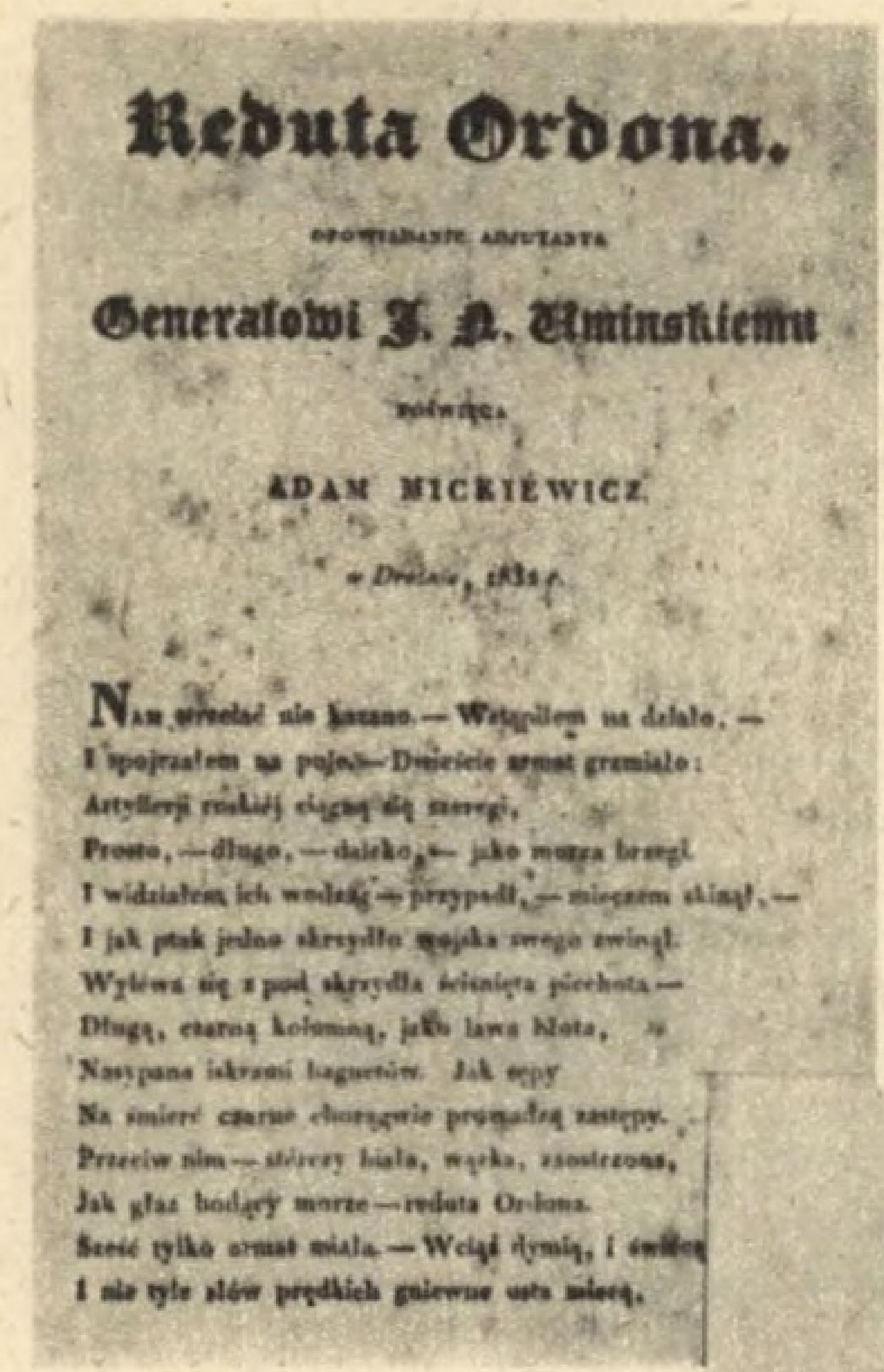

Reduta Ordona.

OPOWIADANIE ADIUTANTA

Generałowi J. N. Umińskiemu

poświęca

ADAM MICKIEWICZ

w Dreźnie, 1832.

Nam strzelać nie kazano. — Wstąpiłem na działo, —
I spojrzałem na pole. — Dwieście armat grzmiało:
Artylleryi ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, — długo, — daleko, — jako morza brzegi.
I widziałem ich wodza; — przypadł, — mieczem skinął, —
I jak ptak jedno skrzydło wojska swego zwinął.
Wylewa się z pod skrzydła ściśnięta piechota —
Długą, czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy
Na śmierć czarne chorągwie prowadzą zastępy.
Przeciw nim — sterczy biała, wązka, zaostrzona,
Jak głaz bodący morze — reduta Ordona.
Sześć tylko armat miała. — Wciąż dymią, i świecą
I nie tyle słów prędkich gniewne usta miecą,

Julian Konstanty Ordon według portretu namalowanego przez M. Sozańskiego

się jeszcze, ale już na stracenie skazaną – redutę Nr 54. A co z dowódcą reduty? – miał spytać generał Umiński. Adiutant młody, ma wzrok lepszy, widzi dalej, więc odpowiada:

... Tam stał zawsze, to działo kierował.
Nie widzę – znajdę – dojrzę! – śród dymu
się schował.
Lecz śród najgęstszych kłębów dymu ileż razy
Widziałem rękę jego, dającą rozkazy... –
Widzę go znowu – widzę rękę-błyskawicę,
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
Biorą go – zginął – o nie – skoczył w dół –
do lochów.
Dobrze, rzecze Jenerał – nie odda im prochów.

Tu blask – dym – chwila cicho – i huk jak
stu gromów!
Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów
Harmaty podskoczyły i jak wystrzelone
Toczyły się na kołach – lonty zapalone
Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam; i w gęstej chmurze nas ochłonął.
I nie było nic widać prócz granatów blasku,
I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.

Spojrzałem na redutę; – wały, palisady,
Działa i naszych garstka, i wrogów gromady:
Wszystko jako sen znikło. – Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży – rozjemcza mogiła.
Tam i ci, co bronili – i ci, co się wdarli,
Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli.

Tak widział Garczyński oraz inni wysadzenie reduty i tak przedstawił to Mickiewiczowi. Przypuszczenie, że wszyscy obrońcy wraz z dowódcą Ordonem zginęli – wylecieli przecież w powietrze, było bardzo prawdopodobne, tym bardziej, że w armii wychodzącej ze stolicy i idącej ku granicy pruskiej, a następnie na tułaczkę emigracyjną, nie było nikogo z obrońców reduty Nr 54.

„POSTANOWIŁEM TYLKO SPEŁNIĆ SWÓJ OBOWIĄZEK"

Kim był bohater wolskiej reduty? Urodził się w Warszawie w 1810 r. w rodzinie urzędniczej. Wcześnie stracił matkę, ojciec sam zajmował się wychowaniem synów. W latach 1823–28 uczęszczał w Warszawie do liceum. Po ukończeniu szkoły średniej wstąpił do wojska polskiego, do artylerii konnej. Po wybuchu powstania wraz ze swą jednostką uczestniczył m.in. w bitwach pod Dobrem, Wawrem, Grochowem, Iganiami. Za odwagę i sprawność wojskową, jaką wykazał w nieszczęsnej bitwie pod Ostrołęką, 20-letni zaledwie żołnierz otrzymał awans na podporucznika, dowództwo baterii i srebrny Krzyż Virtuti Militari. Po odwrocie spod Ostrołęki Ordon przebywał w Modlinie ze swą jednostką.

W sierpniu, gdy powstanie zaczęło się chylić ku upadkowi, a nieprzyjaciel zaczął od południowego zachodu okrążać Warszawę, 4 bateria artylerii wezwana została z Modlina do obrony stolicy. 2 września 1831 r. generał Józef Bem, dowodzący artylerią powstańczą, wyznaczył młodego Juliana Konstantego Ordona na komendanta artylerii w forcie Nr 54 na Woli. Fortów takich było kilka. Załogi ich miały bronić nieprzyjacielowi dostępu do stolicy. Sam Ordon w wiele lat później opowiadał: „Otrzymawszy rozkazy od generała, udałem się natychmiast na inspekcję stanu fortyfikacji, dział i artylerzystów... stan obrony był jak najgorszy; reduta Nr 54 usypana w sześciokąt z ziemi, nie wysłana faszyną i koszami... Z sześciu dział żelaznych, starych – jeden granatnik był nie do użycia... Kilkudziesięciu artylerzystów z samych rekrutów złożonych. Zacząłem też od razu musztrę... Nazajutrz, tj. 3 września generał Bem przyszedł do mojej reduty, złożyłem mu raport z odbytej inspekcji: odpowiedział mi, że w razie ataku przyjdzie mi na odsiecz, ale gdyby reduty nie można było obronić, należy magazyn podziemny wysadzić, by się amunicje w ręce nieprzyjaciela nie dostały".

Podczas bitwy o Warszawę, która rozpoczęła się wczesnym rankiem 6 września, najpierw przeważające siły nieprzyjacielskie zajęły fort Nr 55. W tej sytuacji fort Nr 54 od razu znalazł się pod obstrzałem i atakiem z przodu i z boku. Mamy wiele pamiętnikarskich opisów tych walk na Woli, gdzie przecież zginął także generał Józef Sowiński – ale każdy patrzył na obronę reduty Nr 54 z innej strony i inaczej ją widział. Z rosyjskich pamiętników dowiadujemy się, że najpierw w kierunku reduty Nr 55 i Nr 54 ruszyła rosyjska dywizja generała Sulimy. Szybko zajęła redutę 55 i uderzyła na redutę 54. Szturmującej dywizji Sulimy pośpieszyła z pomocą część rosyjskiej dywizji pod dowództwem gen. Gejsmara.

Załoga reduty Nr 54 broniła się dzielnie. 6 czy 5 dział armatnich pod dowództwem Ordona istotnie bez przerwy biło w zbliżającego się nieprzyjaciela. A potem, gdy nieprzyjaciel z przodu, z boku i z tyłu w wielkich masach wdarł się do reduty, sytuacja obrońców była beznadziejna. I wtedy nastąpił wybuch.

Jak jednak do tego doszło, czy dokonał tego sam Ordon, czy ktoś inny? Czy był to czyn rozmyślny, czy przypadek? Wielu historyków zastanawia się do dziś nad rozwiązaniem tej zagadki. Ale najbliższe chyba prawdy jest wyjaśnienie, które opublikował sam Ordon w „Gazecie Narodowej" we Lwowie w 1882 r., a więc w 50 lat po napisaniu wiersza przez Mickiewicza.

Wynika z tej relacji, że krytycznego dnia 6 września nieprzyjaciel atakujący ogromnymi siłami, najpierw ogniem artyleryjskim zdemolował jedno z dział fortu Nr 54, zabił i ranił kilkunastu kanonierów, a następnie zaczął się wdzierać na wały i rzucił się – jak pisze Ordon – „na garstkę naszych. Wówczas widząc już redutę straconą, zacząłem się cofać wraz z innymi kanonierami ku magazynowi amunicji i prochów, gdzie przy drzwiach, z których się wchodziło po schodach do tegoż – stał podoficer – magazynier z lontem... Zbliżywszy się do niego, kazałem przyłożyć ogień... Spuścił lont – i zaraz buchnął płomień, na raz huk, trzask i ziemia zatrzęsła się wraz ze mną... Muszę tu wyznać – dodaje Ordon – że... nie miałem zamiaru ani siebie, ani swych kanonierów w powietrze wysadzić... Postanowiłem tylko spełnić swój obowiązek. Wybuch ten kosztował wprawdzie życie wielu naszych, ale najwięcej nieprzyjaciela i... opóźnił atak na inne szańce, bo nieprzyjaciel my-

śląc, że inne szańce też były podminowane – szedł z obawą i ostrożnością!"

ŻYCIE PO „ŚMIERCI"

Jak to się stało, że w takiej sytuacji, właściwie bez wyjścia, dowódca reduty uszedł z życiem? Należy uznać to po prostu za szczególny przypadek. Jeden z tych, jakie zdarzają się na tysiąc. W chwili wybuchu J.K. Ordon został ogłuszony i raniony. Stracił przytomność, a gdy ją odzyskał, zrozumiał, że znajduje się w niewoli. Żołnierze rosyjscy zbierali z pola walki rannych: swoich i Polaków. Polaków odwozili do obozu jenieckiego w Nadarzynie, swoich – do polowych lazaretów w Warszawie.

Wobec braku lekarzy i felczerów w rosyjskiej armii, a także miejsc dla rannych w polowych lazaretach, pozwolono rannym żołnierzom polskim, zwłaszcza warszawskim, mającym w mieście rodziny – udać się na leczenie do domów. Ordonowi udało się ukryć, że jest oficerem, a następnie powiadomić rodzinę, która za zgodą władz zabrała go z Nadarzyna do Warszawy. Po kilku tygodniach kuracji udaje mu się wraz z bratem Józefem (również uczestnikiem powstania) – zdobyć odpowiednie dokumenty i wymknąć się do Galicji, gdzie zatrzymał się w Lesku, majątku ziemskim ojca hr. Edmunda Krasińskiego, swego kolegi z wojska polskiego. U niego przebywał Ordon aż do nieszczęsnej wyprawy do Galicji Józefa Zaliwskiego, którą zorganizowali w 1833 r., byli powstańcy, aby rozpocząć nową walkę o wyzwolenie Ojczyzny. Już w 1832 r. przystąpił Ordon do owego spisku w Galicji. Po nieudanej wyprawie Zaliwskiego, Ordon, zagrożony aresztowaniem (teraz przez Austriaków), ukrywał się we Lwowie, potem w Kalwarii Zebrzydowskiej. Latem 1833 r. przedostał się do Cieplic, a stamtąd piechotą doszedł do Drezna. Nie zastał tam już Mickiewicza i Garczyńskiego, choć może słyszał o „Reducie Ordona" napisanej przez Mickiewicza w Dreźnie. Tamtejsi emigranci polscy pomogli mu uzyskać paszport angielski i wyjechać do Londynu.

W tym samym czasie mickiewiczowska „Reduta Ordona" rozpoczynała swoją polityczną misję. Niosła nielegalną drogą Polakom w kraju oraz udręczonym emigrantom polskim nadzieję – wypływającą z bezgranicznego bohaterstwa i ukochania Ojczyzny. Ordon poetycki, fantastyczny – „raz po raz wysadzał swą redutę wszędzie tam, gdzie grzmiały dumne strofy wiersza" – pisze Zb. Załuski w książce pt. „Siedem polskich grzechów głównych". Ordon umierał na uroczystych akademiach w skupiskach uchodźców polskich za granicą oraz w Galicji. Wyciskał łzy i mobilizował młodzież pod zaborem rosyjskim i pruskim na tajnych wieczorkach w kraju, umierał na kartach książek i w uczniowskich zeszytach.

A tymczasem prawdziwy, ale przecież nie mniej bohaterski obrońca reduty Nr 54, wyleczony z ran, ale z nadwerężonym słuchem, tułał się po całej Europie wśród tłumu uchodźców polskich i raz po raz stawał do nowej walki o wyzwolenie uciskanych ludów.

Obraz Wojciecha Kossaka przedstawiający szturm na główną redutę wolską bronioną przez Gen. Józefa Sowińskiego

Przez pewien czas mieszkał w Edynburgu, zarabiając na swe utrzymanie udzielaniem lekcji matematyki i języków obcych. Potem udał się do Belgii, gdzie spodziewał się jako wojskowy specjalista od artylerii znaleźć zatrudnienie w utworzonej niedawno armii tego wyzwolonego kraju.

Po półrocznych bezskutecznych staraniach wyjechał do Hamburga i pracował w firmie założonej przez swego brata. Ciągnęło go jednak do wojska.

W 1848 r. na wieść o wybuchu powstania w Wielkopolsce Ordon opuścił Londyn w kwietniu 1848 r. i przez Paryż oraz Berlin usiłował dotrzeć do kraju. Niestety, Powstanie Wielkopolskie zostało zduszone, a Ordon w Berlinie przez Niemców uwięziony. Po wyjściu z więzienia pospieszył do Paryża, a stamtąd na Węgry, gdzie walczył jego dawny dowódca, generał Bem, ten sam, który mu w 1831 r. kazał „nie oddać prochów" nieprzyjacielowi na wolskim szańcu.

„JESTEM ORDON..."

W okresie wojny rosyjsko-tureckiej (wojny krymskiej), kiedy to znów zabłysła nadzieja sformowania legionu polskiego przy boku walczącej z Rosją Turcji, Ordon na wezwanie księcia Adama Czartoryskiego udał się do Londynu, by statkiem przewieźć stuosobowy oddział polskich ochotników do Konstantynopola, a potem do Warny. W Burgas, w obozie dywizji polskiej gen. Władysława Zamoyskiego dowodził baterią artylerii. Tam właśnie – w końcu 1855 r. doszło dopiero

Julian Konstanty Ordon podczas służby w armii włoskiej

do spotkania osobistego Ordona z Mickiewiczem, który odwiedzał oddziały polskie.

„Jestem Ordon, któregoś, Pan na tamten świat wyprawił" – zameldował się Mickiewiczowi w październiku 1855 r. w Burgas. Poeta uściskał go serdecznie. O czym rozmawiali? – nie wiemy. Nie zachował się bowiem żaden ślad tamtej rozmowy. W porozumieniu z Mickiewiczem udał się Ordon do Konstantynopola, gdzie otrzymał dowództwo szwadronu kozaków, których w ciągu roku przeszkolił i przekształcił w baterię artylerii. Po śmierci Mickiewicza i rozwiązaniu oddziału – Ordon, odznaczony tureckim orderem, wyjechał w końcu 1856 r. do Paryża. W 1858 – 60 r. pełnił obowiązki profesora języków nowożytnych w kolegium rządowym w Meaux. Tam doszła go wieść, że rewolucjoniści włoscy porwali się do walki o zjednoczenie Włoch, udał się więc do Neapolu, gdzie otrzymał w armii Garibaldiego dowództwo I baterii.

Ordon brał udział w bitwach: pod Volturno oraz Santa Maria di Capua, odznaczył się i dostał awans na kapitana. Zaliczony został do stałej armii włoskiej, naturalizowany i odznaczony Krzyżem Oficerskim Korony Włoskiej.

OSTATNIE LATA ŻYCIA

Spędził je we Florencji jako zdymisjonowany wojskowy. Skromna emerytura otrzymana od rządu włoskiego pozwalała mu żyć bez większych kłopotów finansowych, ale z dala od kraju i bliskich. Miał wprawdzie kilku oddanych przyjaciół, wśród nich Teofila Lenartowicza i Ludwika Ostaszewskiego, ale to nie zdołało złagodzić goryczy tułaczki. W dodatku pogarszający się stale stan zdrowia, utrata słuchu i wzroku, czyniły życie coraz trudniejszym.

Nadeszła wiosna 1887 r. Julian Konstanty Ordon podejmował swoją ostatnią decyzję powoli, z rozmysłem i spokojem. Nie tak nagle, jak niegdyś w huku armat i w walce na bagnety na wolskiej reducie. Spokojnie napisał swą ostatnią wolę i zaadresował ją do przyjaciela Ludwika Ostaszewskiego. Była piękna, prawdziwie majowa włoska noc z 3 na 4 maja. Julian Konstanty Ordon, bohater bitwy o Warszawę, uczestnik kampanii węgierskiej, tureckiej i włoskiej, instruktor tylu żołnierzy i dowódca tylu różnych oddziałów wojskowych, a także nauczyciel tylu uczniów, poczuł się już nikomu niepotrzebny. Uznał, że może dobrowolnie odejść tam, skąd się już nie wraca... W nocy z 3 na 4 maja 1887 r. przyłożył Ordon pistolet do skroni...

Zanim zdecydował się na ten czyn, napisał swą ostatnią wolę. Kazał spalić swe zwłoki, a urnę z popiołem przewieźć do Lwowa. Tam właśnie lub w Krakowie mógł być pochowany, bo przecież nie w Warszawie pod panowaniem caratu. W cztery lata po wojskowym pogrzebie we Florencji – dopiero w 1891 r. urnę z prochami Ordona – przyjaciel jego Ludwik Ostaszwski przewiózł do Lwowa na Cmentarz Łyczakowski. W pięć lat później odbyło się odsłonięcie pomnika Ordona wykonanego przez artystę-rzeźbiarza Tadeusza Barącza. Odsłonięcie połączone było z uroczystą manifestacją patriotyczną ludności Lwowa i stowarzyszenia b. uczestników powstań 1831 i 1863 r. W Warszawie uczczono pamięć Ordona i innych powstańców ufundowaniem pomnika na miejscu dawnej reduty Nr 54. Odsłonięto go w 1937 r.

Bohaterski obrońca wolskiej reduty przeżył swoją poetycką śmierć o 56 lat. Te pół wieku życia, które spędził z dala od kraju, walcząc o wolność innych, to nie mniej bohaterska i godna podziwu historia ludzkiego życia.

DIONIZA WAWRZYKOWSKA-WIERCIOCHOWA

Kamień pamiątkowy ustawiony na Woli w miejscu, gdzie była Reduta Ordona

PODERWAŁAM CHŁOPAKA...

Nawet nie przypuszczałaś, że tak się stanie...

Sterczałaś na dworcu myślami odpływając gdzieś daleko, gdzie nikt oprócz ciebie nie miał dostępu. Wtedy podszedł „On", a ty – jeszcze zupełnie myślami gdzie indziej – spojrzałaś na niego. Owszem, był ładny i tobie się podobał, ale już przedtem zauważyłaś, że nie zwraca na ciebie uwagi. Czułaś jednak, że w jego zachowaniu jest coś dziwnego, lecz zabrakło ci czasu na zastanawianie. Przedstawił się i zaproponował, abyście się razem gdzieś przeszli. Nie zaoponowałaś.

Kiedy zastanawiam się dzisiaj, z perspektywy czasu, nie mogę zrozumieć, gdzie też się podziały twoje mocne zasady... Wyobrażam sobie, że gdy tak z nim szłaś, to świat twój różowiał coraz bardziej! A potem wpadłaś do mnie i rozmarzona powiedziałaś: „Poderwałam chłopaka!"

Gdy opowiedziałaś mi to wszystko, od razu wiedziałam, że coś tu jest nie tak...

Następnego dnia też pojechałaś, żeby się z nim spotkać, ale gdy zobaczyłam, że wracasz wcześniej niż zwykle, domyśliłam się, że coś się stało. A ty byłaś taka smutna, że zrobiło mi się zupełnie głupio.

Usłyszałam wtedy to zdanie, które słyszałam setki razy, lecz teraz było ono tak prawdziwe jak nigdy: „Nie chce mi się żyć".

Spojrzałaś na mnie bez wyrazu i zaczęłaś opowiadać: „Widziałam się z nim. Przeprosił, że mi zawracał głowę i powiedział, że to był tylko zakład. Potem stał i czekał na moją reakcję".

Do Ciebie początkowo jakby nie docierało. Lecz kiedy zrozumiałaś, spojrzałaś na niego, odwróciłaś się bez słowa. Podjechał akurat autobus. Wsiadłaś. Spojrzałaś przez szybę i dostrzegłaś zimne, ironiczne i trochę smutne oczy. Opuściłaś głowę. Twój świat był już tak szary i zimny jak ta szyba, o którą byłaś oparta.

Justyna

Ilustr. Zygmunt Zaradkiewicz

BYĆ SOBĄ...

– Naprawdę nigdzie nie wyjedziesz? – dopytywała się mnie mama.

– Niby gdzie? – burknęłam. Chodziłam wściekła po całym mieszkaniu, przystając przed każdym oknem i półką z książkami. Wszystko nastrajało mnie pesymistycznie. Na dworze padał obrzydliwy kapuśniaczek i hulał wiatr. Na półkach stały książki, których treść znałam prawie na pamięć.

– Ferie! – warknęłam. – Można się wściec z nudów.

– Aniu, a może byś skoczyła do kina? Przecież miałaś ochotę iść na „Tess" – mama wysilała się, jak tylko mogła, chcąc mi dogodzić.

– Sama? Jeszcze nie zgłupiałam.

– A Beata, Monika?

Usiadłam w fotelu i nonszalancko założyłam nogę na nogę, jakbym nie miała tłustych włosów, spłowiałego dresu i podartych kapci, ale trwałą, kombinezon ze sztruksu i szpilki na nogach.

– Monika pojechała do miasta, a Beata odrabia lekcje.

– A ty?

– Też powinnam pojechać do miasta albo odrabiać lekcje? – wzruszyłam ramionami.

Obrażona mama poszła do kuchni, a ja wzięłam się chyba z dwudziesty raz za „Jezioro Osobliwości". Jednak czy tyle razy przeczytana książka może wzbudzić zainteresowanie?

Do pokoju znów wsunęła się mama.

– Aniu, a może byś uszyła sobie tę bluzkę. Tak chciałaś założyć ją na Sylwestra.

– No to co? I tak w Sylwestra będę siedziała w domu.

– A Beata? – mama uparła się dziś na moją przyjaciółkę. Beata, Beacie, Beaty, z Beatą.

– Ona idzie na Sylwestra do jakiejś koleżanki – zawyłam żałośnie.

– A nie może cię wziąć ze sobą?

– Ze sobą to się bierze psa – sprostowałam godnie. Napomniałam jej, że będę się nudziła, a ona nic. Domyślna nie jest, a ja się narzucać nie będę.

– A Monika?

– Ach, mamo, nie męcz mnie – zawyłam znów żałośnie i wróciłam do czytania książki.

W klasie słychać było tylko głos Anny. Opowiadała dziewczętom o swoich feriach:

– Mówię wam, super. Już w pociągu poznałam chłopaka, który też jechał do Poznania. Ma chyba ze dwa metry wzrostu, czarne włosy i oczy. Nazywa się Andrzej. Całe dnie z nim spędzałam w Poznaniu. Właściwie u ciotki tylko nocowałam. A noc sylwestrową spędziłam w akademiku. Jego kolega jest studentem. A tę spódnicę kupiłam w butiku. Ładna?

– Śliczna – przytaknęły dziewczęta. – A od kiedy czeszesz się w kitki?

– Andrzej powiedział, że mi w nich do twarzy. A on się na tym zna, jest przecież w Liceum Plastycznym. „Boże, dlaczego taka jestem? Dlaczego im nie powiem, że tę spódnicę uszyłyśmy razem z mamą, a ferie spędzałam w domu? A na kitki zdecydowałam się stojąc codziennie przed lustrem."

– „Sobą być"... – zanuciła Anna i dodała w myśli – jak to trudno dziś.

Małgorzata

FOTO–RODZINA

PIONIER

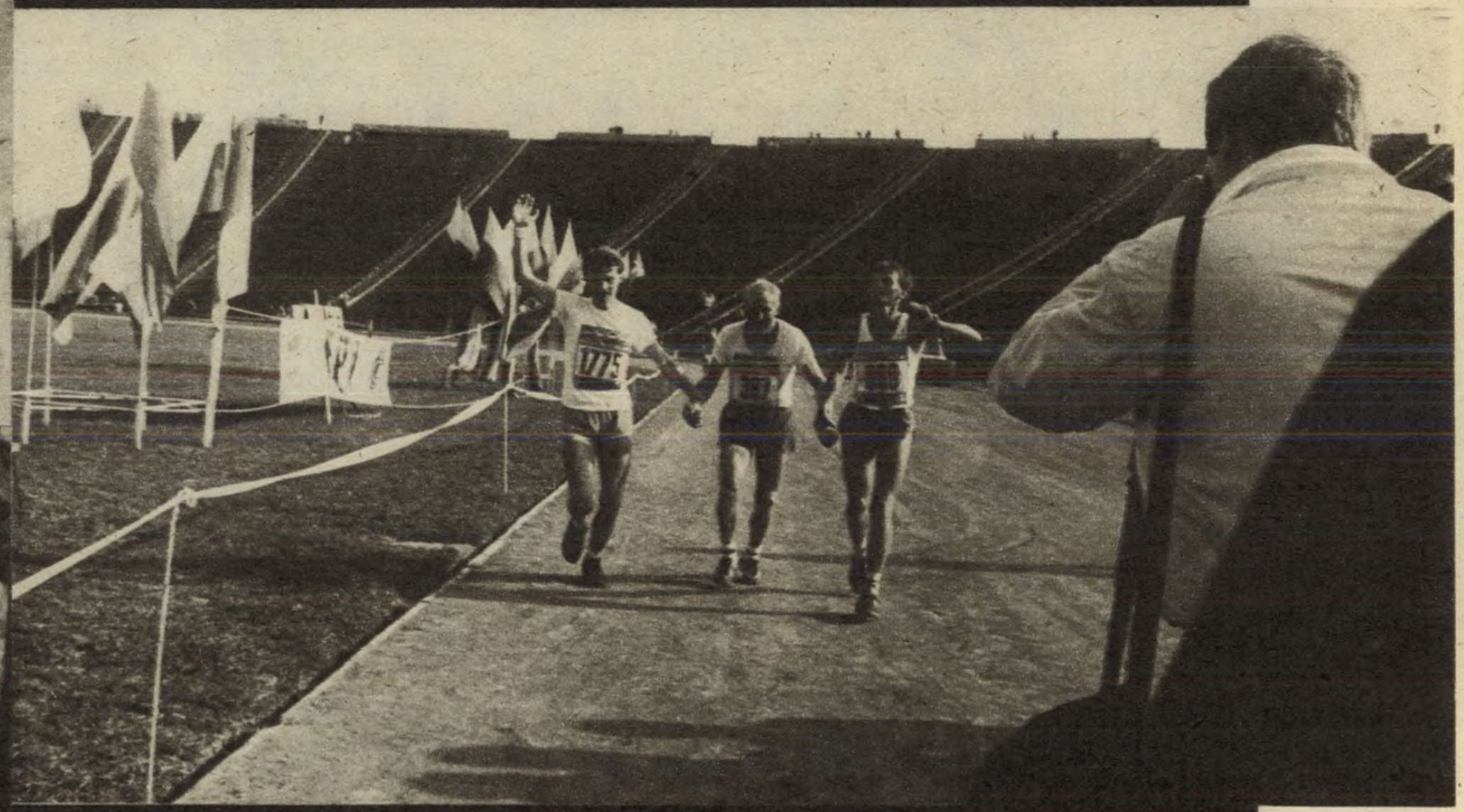

Podpatrzył i sfotografował WŁODZIMIERZ BARCHACZ

FOTO–RODZINA

Moje DRZEWO genealogiczne

TU WKLEJ WŁASNĄ FOTOGRAFIĘ

TU WKLEJ FOTOGRAFIĘ SWOJEJ SYMPATII

INSTRUKCJA:

- **wklej fotografie wycięte owalnie;**
- **jeżeli chwilowo nie masz sympatii, napisz: VACAT;**
- **wywieszaj „drzewo" w dni rodzinnych uroczystości.**

GORĄCZKA W VII „A”

EDMUND NIZIURSKI — rys. Julian Bohdanowicz

Z notatnika Tomasza Żabnego

– Trudna rozmowa z maksymalistą.

– Żeby tylko nie skończyło się na bębnieniu.

Czułem, że należy coś przedsięwziąć, zanim dojdzie do nieszczęścia. Rozejrzałem się po sali gimnastycznej.

– Czy nie widziałeś gdzieś Suplicjusza? – zapytałem Złośliwego Miecia, który od pewnego czasu krążył koło mnie uparcie.

– Niestety, nie – odparł Miecio.

Chciałem odejść, ale on zatrzymał mnie łagodnie.

– Poczekaj, spodenki ci opadają – powiedział i chciał mi je poprawić, ale na szczęście znałem ten jego numer i odskoczyłem w porę.

Łobuz odstawiał go notorycznie podczas ćwiczeń w.f. Przychodził do sali przed lekcją, gdy było jeszcze pusto, golił starannie żyletką parę kaktusów stojących pod oknami, a następnie z garścią drobnych igiełek ukrytych w dłoni podchodził do upatrzonych kolegów i pod pozorem poprawiania delikwentom gumek w pasie wpuszczał im do spodenek te igiełki. No, i potem miał duży ubaw, jak pod okiem zdumionego Geparda wili się na przyrządach i dostawali obłędu na materacach po wykonaniu skoków.

Teraz też ku zaskoczeniu Geparda poczciwy okularnik Rabatowicz po wykonaniu skoku przez konia popadł w niezrozumiały szał i począł uprawiać taniec brzucha, a w końcu chciał zedrzeć z siebie spodenki; Gepard miał duże trudności, żeby mu to jakoś wyperswadować.

Upłynęło sporo czasu, zanim zorientował się, że w grę wchodzą znów szpileczki kaktusa, zaaplikowane uczniowi przez jakiegoś złośliwca, i rozpoczął regularne śledztwo.

Oczywiście, Mietek udał niewinność i dla zmylenia Geparda zaczął ze mną rozmawiać, jak gdyby nigdy nic.

– Nie uciekaj, Żaba. Myślałeś, że chcę ci coś zrobić? Skądże znowu. Stałeś się ostatnio zbyt nerwowy. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego. Macie przecież doskonałe wyniki. Słyszałem, że dwudziestu jeden przesłuchiwanych przez was łotrów przyznało się do popełnienia brzydkiego czynu w szatni.

– Nic o tym nie wiem – zasapałem. – Nie mam z tym nic wspólnego.

– Czyżby?! Co za skromność, Żaba! Zawsze podziwiałem twoją ujmującą skromność. Ale bez przesady, bracie. Skoro wziąłeś tak wspaniałych specjalistów, cały wachlarz od Suplicjusza do Kocemby, to musiały przyjść wyniki...

– Dobra, dobra, przestań pleść i powiedz mi lepiej, gdzie Suplicjusz, skoro o Suplicjuszu mowa...

Urwał nagle, bo koło nas przechodził Kocio Kocemba. Miecio wykonał nieznaczny ruch rączką. Wiedziałem, co to oznacza. Pozbył się reszty igiełek kaktusa z dłoni i wpuścił je Kociowi. Pomyślałem, że ma bardzo sprawną i precyzyjną tę rączkę i że z równym powodzeniem mógłby zupełnie niezauważalnie wyciągać bliźnim z kieszeni wszystko, co tylko by zapragnął... A więc także i Kiełbikowi wtedy w szatni i nawet niekoniecznie w szatni. Taki specjalista?!

– Co tak patrzysz? – zapytał Miecio.

– Masz klawą rączkę – powiedziałem.

Miecio zaśmiał się i obejrzał sobie rękę pod światło.

– Podoba ci się?

– Bardzo.

– Wciąż podejrzewasz, że to ja? Pasowałoby ci?

– Bardzo by mi pasowało.

– Nie rozmawiałeś jeszcze z Parkerem?

– Nie.

– Powiem mu, żeby zadzwonił do ciebie i umówił się z tobą – uśmiechnął się Miecio.

– Niech przyjdzie razem z Bingiem Cwajnosem – powiedziałem, obserwując Miecia.

Przez twarz Miecia przeleciał jakby cień niepokoju, przez moment zamrugał śmiesznie oczami, a potem roześmiał się nieco sztucznie.

– Więc poznałeś też Binga Cwajnosa? Robisz duże postępy, Żaba. Ale z Bingiem się spotkać dość trudno. To zalatany gość. Robi interesy na giełdzie sportowej. Chyba że przydybasz go na tej giełdzie w niedzielę.

– W niedzielę mamy biwak.

– No, to niewiele masz szans. Chyba że Parker ci rzeczywiście pomoże.

– Oni się przyjaźnią?

– Są w jednej paczce, ale to dwa różne typy, chociaż uzupełniają się nawzajem. Parker jest bardziej inteligentny. Subtelny gość. Podobny do Suplicjusza, tylko bardziej wszechstronny, i ma fantazję, jak artysta...

Wyjaśnienia Mietka przerwał jakiś łomot straszliwy. Spojrzeliśmy. Kocio Kocemba spadł z drabinki i z obłędem w oczach podskakiwał wokół Geparda.

– I ty też? – zasapał wzburzony Gepard.

– Tak, proszę pana.

– Kto ci to zrobił?

– Nie wiem, jak byłem na drabinkach, ukłuło mnie...

– Mieczysław Tyc za drzwi! – wykrzyknął Gepard.

– Co?! Dlaczego ja?!

– Za drzwi, Tyc! Żabny, wyprowadź go!

– To nie ja! Pan nie ma żadnych dowodów! – próbował protestować Mietek, ale uciszyłem go.

– Nie rzucaj się, co ci szkodzi, przewietrzysz się na korytarzu. Poszukamy Suplicjusza. Pomówimy we trzech szczerze.

Wyprowadziłem Mietka.

– Obara będzie wiedział, gdzie jest Suplicjusz – powiedział, gdy znaleźliśmy się na korytarzu. – Widziałem, jak rozmawiali przed lekcją, Obara coś mu pokazywał i Suplicjusz pobiegł w tamtym kierunku.

– W jakim kierunku?

– Na dół po schodach. Oni byli na piętrze. Obara na pewno będzie wiedział – powtórzył Miecio.

– A gdzie jest Obara? Jego także nie było na wuefie.

– Z nim jest gorsza historia – rzekł Miecio. – Biedny Niedźwiedź Bara-bara musi ćwiczyć werble do defilady. Okulla zwolniła go z wuefu i zapędziła do bębnów. Cały zastęp ćwiczy. Bębnią jak szatany. Posłuchaj, nawet tu słychać!

Istotnie, nie potrzebowałem nawet natężać specjalnie słuchu. Z lewego skrzydła gmachu, chyba z sali prób, dobiegał charakterystyczny warkot werbli, jakby ktoś grochem rzucał o ścianę.

– Myślałem, że on specjalizuje się w trąbieniu – zauważyłem.

– Już nie.

– Znowu się przesiadł?

– Tak, w zeszłym tygodniu. Ty się naprawdę oderwałeś od życia Ludu, Żaba.

Pokręciłem smutno głową. Nie dobrze z naszym dobrym bratem Obarą. Niezdrowa ambicja pożera go i gubi, odkąd dostał wreszcie patent zastępowego. Twierdził, że przez siedem lat męczył się jak pchła na psie z polistyrenu, bo nie miał co ugryźć, no i nareszcie – własny zastęp i możliwość pokazania, co potrafi. No, i od razu okazał się nieznośnym perfekcjonistą, maksymalistą i katem dla swoich ludzi. W jego zastępie wszystko musiało być na medal, na podwójne tip-top i hurra! Może po prostu zbyt na serio i dosłownie wziął to, co szczepowa mówiła o specjalizacji zastępów. Sama zasada specjalizacji bardzo mu odpowiadała, ponieważ mógł się tu wyżyć na całego, wyśrubować wyniki znacznie wyżej niż w zwykłym zastępie, który zajmuje się wszystkim po trochu. W zastępie wyspecjalizowanym miała szansę ukazać się demoniczna moc Niedźwiedzia Bara-bara, fanatyka doskonałości, który niczego nie umie robić źle. Po prostu mógł być tym najlepszym.

Zaczął demokratycznie i przeprowadził w zastępie uczciwe głosowanie, jaką specjalizację wybrać. Wybrali dżudo i kulturystykę. Pusty śmiech mnie ogarnia na wspomnienie tych nieszczęśników! Nie zdawali sobie zupełnie sprawy, w czyich są rękach i że skazują się na codzienną, wielogodzinną mękę morderczego treningu, bo, rzecz jasna, Niedźwiedź Bara-bara postanowił uczynić z nich dżudoków i kulturystów na podwójne tip-top i hurra. Mało kto wytrzymał. Już po paru dniach zaczęły się pierwsze dezercje i ucieczki. Chłopaki pryskali mu z zastępu. Nie zrażał się, brał nowych, miał już pierwsze wyniki, kiedy spotkała go przykrość. Pech chciał, że w czasie treningu złamali palec Grześkowi Tubusowi, który chodził do szkoły muzycznej – podobno jakiś nadzwyczajny pianistyczny talent. Okulla chciała go wykorzystywać do akademii ku czci, tudzież do wszelkich jubli i uroczystości szkolnych oraz popisywać się nim na imprezach gogicznych miejskich i wojewódzkich, więc kiedy się dowiedziała, że mu złamali ten palec, wpadła w złość, wyklęła dżudo i kulturystykę, a Obarze urządziła pokaz „burzy i nawałnicy" w siódmym stopniu skali Beauforta.

Pozostało więc mu... trąbienie. I uczynił z tego sprawę prestiżową. Miało to być trąbienie donioślejsze od trąb aniołów w dzień sądu oraz skuteczniejsze od sławnych trąb jerychońskich. Drogą wielu wyrzeczeń, uciążliwych starań w Hufcu i zabiegów w Komitecie Rodzicielskim udało mu się skompletować dla zastępu siedem trąbek i rozpocząć intensywne ćwiczenia, lecz i tu spotkała go klęska. Znów przegiął pałę. Ponieważ i tu wszystko musiało być na podwójne tip-top i hurra, od zbyt forsownego trąbienia nieszczęsnym chłopcom popuchły wargi, a w dodatku dostali bolesnych pryszczy i rodzice zaczęli wnosić skargi u Okulli. Zrobił się raban. Lekarz postraszył Okullę, że wszystkim grozi rozedma płuc, i to zadecydowało ostatecznie. Okulla wyklęła także trąbienie i nakazała Obarze, aby się przekwalifikował na coś zdrowszego...

– No, i wybrał bębny – zamruczałem ponuro do Mietka Tyca.

– Tak. Ćwiczą w sali prób.

– Coraz lepiej – pokiwałem smętnie głową. Byłem szczerze zmartwiony, że mój przyjaciel Obara znalazł się na równi pochyłej. Nie ulegało wątpliwości, że się stacza. Czyżby pozostało mu już tylko ze wszystkich ambitnych planów bębnienie? Nie mogłem w to uwierzyć. Tak, to wszystko przez to nieludzkie dążenie do doskonałości. To się musiało zemścić! Upart się, że zadziwi świat.

– Co ci zależy, niech sobie bębni – powiedział Miecio, zaskoczony zmianą na mojej twarzy.

– Żeby tylko nie skończyło się na bębnieniu – powtórzyłem. – Oczywiście, dobrze bębnić to też sztuka – dodałem po chwili – ale, u licha, miał kiedyś większe ambicje i szersze.

– Tak, masz rację, to bardzo wąska specjalizacja – powiedział z przekonaniem Miecio.

Zaraz po lekcji wuefu pobiegłem do sali prób. Mimo specjalnie izolowanych drzwi i położenia sali prób na końcu lewego skrzydła, głuche dźwięki werbli były słyszalne wyraźnie w całej szkole, a na klatce schodowej stawały się już nieznośne. Nieszczęśni bębnili z jakąś rozpaczliwą determinacją straceńców, jakby od tego zależała przyszłość świata. To nawet mogło imponować, ale z pewnością musiało drażnić nauczycieli. Dlatego nie rokowałem Obarze długiego żywota tej jego nowej specjalności.

Pchnąłem śmiało drzwi do sali i zajrzałem ciekawie.

Pod ścianą stało siedmiu półnagich dryblasów o lśniących od potu, jakby naoliwionych torsach, z grubymi, napuchłymi wciąż jeszcze, nie zagojonymi wargami od tych trąbek, podobnymi do warg ludzi czarnych, i zasmarowanymi na fioletowo gencjaną. Przez ramiona mieli przewieszo-

ne werble, w rękach pałeczki. Operowali nimi w zabójczym tempie z godną podziwu sprawnością.

– Perkusja, stop! – krzyknąłem, zatykając uszy i starając się przekrzyczeć bębnienie artystów.

Obara obrócił do mnie swoją twarz. Trochę się przestraszyłem. Spodziewałem się uniesienia artysty, a tam był wymalowany obłęd.

– Powiedziałem, stop! – powtórzyłem. – Zatrzymaj, Misiu, tych szaleńców. Niech przestaną.

Obara dał znak. Przestali.

– Czego chcesz? – zapytał raczej nieprzyjaźnie. – Widzisz, że jesteśmy zajęci. Musimy zdążyć przed majem, musimy być na medal...

– Podwójne tip-top i hurra! – dokończyłem zgryźliwie.

– Okulla mi kazała i...

– I cię pili, ale to niezbyt zdrowo dać się pilić przez Okullę. Proponuję ci mały relaks, coś dla ducha...

Obara spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Tylko nie próbuj mnie wrobić w swoje zwariowane śledztwo. Mówiłem ci, co o tym myślę...

– Posłuchaj, mówię jak do przyjaciela...

– Nie... ani słowa o tym! Przecież to, co oni wyprawiają, przechodzi ludzkie pojęcie. Ja nie nadaję się na kata i nie zamierzam współpracować z Ciesiami. Powinieneś natychmiast zatrzymać, zastopować tych wariatów!

– Właśnie dlatego przyszedłem. Pomyślałem, że ty mi w tym pomożesz.

– Ja?! Wybacz, ale ja naprawdę mam coś ważniejszego do roboty.

– Wolisz się trzymać idei bębna? – zakpiłem. – Bęben jako idea! Oto, jak skończył szlachetny niegdyś mędrzec O'bara-bara.

– Mylisz się, nie skończymy na bębnach – oznajmił chłodno Obara. – To tylko na okres przejściowy po trąbkach, żeby chłopcy mogli się w czymś wyżyć. Ale to długo nie potrwa. Nie dadzą nam. Mam trochę doświadczenia. Bębnienie nie ma przyszłości w tutejszym protektoracie Wielkiej Okulli Wspaniałej nad złym Ludem. Wiesz chyba.

– Wiem, przyjdą i zabiorą bębny.

– Ale nie martw się, Żaba – oczy Obary zabłysły niebezpiecznie – powiedziałem ci, bębnienie to tylko etap. Już przygotowaliśmy przesiadkę. Najważniejsze, żeby zacząć coś nowego, zanim odbiorą nam stare. Wymkniemy się im, Żaba. Nie będą nas nigdy mieli – zapalił się niezdrowo. – Zawsze potrafimy się im wymknąć. Za miesiąc zmieniamy ideę! Będziemy zastępem alpinistów...

– Alpinistów? – osłupiałem. Od bębna do alpinizmu to był zbyt wielki skok jak na moją wyobraźnię, za duża skala.

– Alpinistów lub taterników, nie ustaliliśmy jeszcze. Popatrz – Obara oblizał spieczone gorączką wargi, zaciągnął mnie do futerału od bębna i począł wyrzucać z niego podręczniki alpinistyki, przewodniki tatrzańskie, numery „Taternika", zdjęcia, wycinki z gazet. – Na wakacje jedziemy w Tatry. Mamy w planie siedem jaskiń i dwadzieścia osiem szczytów w tym sezonie... – wyszczerzył swoje wilcze zęby i kłapnął nimi zachłannie. – Oczywiście, wszystkie wejścia wyczynowe, co najmniej w trzecim stopniu trudności jak na początek...

– Wysłuchałem z obrzydzeniem tych wynurzeń maksymalisty-fanatyka... i ręce mi opadły.

– Ty jesteś nie... nieuleczalny. Chory na nieuleczalną chorobę – oznajmiłem. – Czy ci już ktoś to powiedział?

– Nie – zdziwił się Obara.

– No, to ja ci mówię. Cofnij się, póki czas, może to tylko taka wiosenna gorączka, może po prostu masz grypę, odpręż się, oderwij na moment od tych wariackich planów i zechciej mnie wysłuchać spokojnie. Ja do ciebie przychodzę jak do dobrego brata po pomysł, a ty mi szczerzysz zęby fanatyka.

– Przyszedłeś po pomysł? – zasapał.

– Zawsze miałeś doskonałe pomysły.

– Naprawdę przyszedłeś tu tylko po to? – spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Tak, tylko po to – oświadczyłem i opowiedziałem mu dokładnie, jak wygląda sytuacja w budzie po tej kradzieży w szatni i dlaczego nie można zastopować Kocia zwykłymi metodami.

– Siadaj – powiedział Obara.

Z ulgą stwierdziłem, że uspokoił się jakby nieco.

Usiadłem. Obara bębnił przez chwilę palcami po skórze werbla, zamyślony.

– Jest jedno wyjście – powiedział nagle i przestał bębnić. – To od razu usadzi Kocia i odbierze mu wszelki powód do jego ohydnych działań.

– Mianowicie?

– Ogłosi się, że pieniądze się znalazły i wypożyczy się od kogoś te dwa tysiące do pokazania Kociowi, że nie ma już po co się trudzić... Kiełbika się przyciśnie i poświadczy.

– A jak nie będzie chciał poświadczyć?

– Powiedziałem, przyciśnie go się. Zresztą można będzie zrobić zbiórkę, żeby mu wynagrodzić stratę. Więc poświadczy i Kocio straci rację bytu jako funkcjonariusz śledczy.

– Będzie nalegał, żeby mu powiedzieć, kto ukradł – zauważyłem.

– No, to mu powiesz.

– Co powiem?

– Że ukradł Tyndzio Dubelt.

– Kto? – wytrzeszczyłem oczy.

– Tyndzio Dubelt – powtórzył spokojnie Obara.

– Kto to jest?!

– Znajomy Parkera.

Drgnąłem i spojrzałem na Obarę zaskoczony.

– A co ty wiesz o Parkerze?

– Że jest znajomym Tyndzia.

Roześmieliśmy się. Ale tylko na moment.

– Więc mówisz... Tyndzio – chrząknąłem – ale przecież...

– Niech się Kocio głowi – przerwał Obara. – Tak powiesz i przestaniesz się zajmować całą sprawą, i zaczniesz się wreszcie zajmować swoim zastępem.

– To nie jest dobra rada – rzekłem.

– Co?!

– Wypchaj się z taką radą, Misiu.

Obara zasapał wzburzony.

– Ty, oszuście! – wykrztusił wreszcie.

– Co powiedziałeś?! – zerwałem się z krzesła, a on wycelował we mnie oskarżycielski palec. – Przejrzałem cię, Żaba! I wiem, czemu odrzucasz moją radę... Bo ty wciąż jeszcze chcesz odnaleźć tego złodzieja. Uparłeś się. Ta zabawa w łapanie złodzieja bardzo ci się w gruncie rzeczy podoba, Żaba. Byle nie z Kociem, prawda? Ty chcesz pozbyć się tylko rywala, uciszyć konkurenta, który w dodatku psuje ci markę swoimi metodami śledczymi. Łapać złodzieja! W to ci graj! To ciekawsze niż męczyć się w zastępie ze zwykłymi chłopakami, mozolnie ćwiczyć się w jakiejś specjalizacji, zdobywać punkty do sprawności i odwalać nudne alerty. Tu cię mam! Naprawdę dziwię się, po co w ogóle wziąłeś zastęp do prowadzenia! – błysnął gniewnie białkami oczu.

Wzruszyłem ramionami.

– No, więc dobrze. Uparłem się i chcę złapać tego złodzieja. Takie sobie postawiłem zadanie.

– Człowieku, zastęp ci się sypie, wakacje za pasem, leżysz z pracą, zawalasz harmonogramy, a ty... dla nędznych pieniędzy, dla paru brudnych papierków... czy to naprawdę jest ważne?!

– Parę brudnych papierków na pewno nie – wycedziłem. – Ale tu nie chodzi o pieniądze, czy tego nie rozumiesz? O'bara-bara, tu nie jest nawet ważne, kto ukradł, ale dlaczego ukradł! To nie jest zwyczajna kradzież...

– Na jakiej podstawie tak myślisz, że to nie jest zwyczajna kradzież?

– Bo u nas nigdy nie było kradzieży i jeśli po tylu latach ktoś nagle kradnie...

– To nie jest żaden dowód – przerwał Obara. – Po prostu nigdy mogło nie być tak doskonałej okazji do kradzieży, może okazja była zbyt łatwa, a potrzeba forsy zbyt silna.

– Ależ posłuchaj... – powtórzyłem mu wszystkie opinie, które wyrobiliśmy sobie na temat tego wypadku z Suplicjuszem, lecz nie przekonałem Obary.

– Jeśli to taka poważna sprawa, jak myślisz, to zostaw ją Okulli. Ona uwielbia takie poważne sprawy, za którymi coś się kryje...

– Mówisz zupełnie jak Arek – powiedziałem. – Ale tego nie można zostawić Okulli.

– Czemuż to?... Aha, już wiem, pewnie cię Pulpet nakręcił. Trzeba załatwić rzecz po cichutku, żeby nie popsuć Okulli statystyki i nie zmącić różowego obrazka tej przeklętej szkółki.

– Mam trochę inny powód – rzekłem zimno. – Dużo wskazuje na to, że za tą kradzieżą czai się coś znacznie gorszego. Suplicjusz też tak czuje. Musimy to szybko wykryć, zanim nie będzie za późno. Nie ma nic pilniejszego w tej chwili... I dziwię się, że ty, O'bara-bara, nie chcesz nic o tym wiedzieć. Lud Bze-bze jest zły, to fakt, ale Lud ma problemy, a ty zamiast mu pomóc, wypinasz się na to, zamykasz niedźwiedzie ucho, uciekasz w głuchy świat perkusji, bębnisz sobie i trąbisz na to...

Obara spojrzał na mnie ze złością. Zdenerwowałem go.

– Ja ci coś powiem – zasapał. – Mają do mnie pretensję, że za duży wziąłem ładunek na moją nieletnią głowę. Otóż ty wziąłeś jeszcze większy i w dodatku niebezpieczny. I jeszcze coś ci powiem. Lud Bze-bze ma problemy, ale ma także wakacje, które też są problemem dla Ludu. Jest w związku z tym mnóstwo spraw do załatwienia i pracy do odwalenia, a ty uganiasz się za wiatrakami i rozwiązujesz problem, co się kryje w ciężkim powietrzu tej budy. Powietrze w tej budzie jest faktycznie ciężkie i z pewnością kryje się w nim wiele nieprzyjemnych rzeczy, ale to nie jest czas do badania. Nic nie zwojujesz przez miesiąc, nie wypuścisz zgniłego powietrza, a możesz wiele zaszkodzić... Mówię ci jeszcze raz, Żaba. Ostatni dzwonek! Myśl o swoim zastępie i o wakacjach!

– Wakacje! – wybuchnąłem doprowadzony do pasji. – Co ty mi wyjeżdżasz z wakacjami! Będę myślał o kajakach, wędkach, kiedy tu się może ważą losy Ludu.

– Losy Ludu?!

– Tu się decyduje cała przyszłość chłopaków, to może zaciążyć na życiu wielu z nich... na całym życiu. Nie możemy tego przegapić, O'bara-bara. Nie darowalibyśmy sobie tego nigdy. Są sprawy, których nie wolno przegapić!

Obara popatrzył na mnie przerażony. To fakt, że zagalopowałem się nieco i pewnie nic nie zrozumiał z mej przemowy.

– Ty jesteś regularny wariat, Żaba – wykrztusił. – Dopiero teraz widzę, ty jesteś regularny wariat...

– Dobra – machnąłem ręką zdegustowany. – Zdaje się, że niepotrzebnie przerwałem ci bębnienie. Bębnij dalej. Cześć! Gdzie te czasy, gdyśmy szli ramię w ramię, trop w trop, gdyśmy stali twarzą w twarz z niebezpiecznym wrogiem i rozgrywali śmiało akcję „Samotny Dom". Powiedz, kto się tu zmienił, Obara?! Wtedy nie mówiłeś, niech się Okulla tym zajmie, wtedy nie mówiłeś, że jestem wariat i że się uganiam za wiatrakami...

Tak mu zasunąłem na pożegnanie prosto w oczy i musiałem poruszyć mętne resztki honoru na dnie jego robaczywej duszy, bo wysapał rozzłoszczony:

– Zaczekaj, nie obrażaj się, to fakt, że działaliśmy wtedy razem i nam się piekielnie udało, ale ta sprawa, przyznasz, trochę jest inna.

– Tak, inna, bo o wiele ważniejsza.

– No, fajno – westchnął i rzekł pojednawczo: – Co chcesz, żebym zrobił?

– Tylko jedną rzecz. Pamiętasz, w poniedziałek najechałeś na mnie z powodu Wyrzka. No, więc dowiedz się, czy to prawda, że to Bingo Cwajnos pożyczył mu pieniądze na tę piłkę dla Ciesi, żeby się Wyrzek mógł wkupić do nich. Najlepiej, żebyś spotkał się i porozmawiał z tym Cwajnosem.

– Do licha, kto to jest Cwajnos?! – zmarszczył brwi Obara.

– Kolega Parkera – odparłem. – Czy to ci coś mówi?

Obara spojrzał na mnie ciężko.

– Szalenie dużo mi mówi – zaklął pod nosem.

– No, to cześć – zrobiłem krok do drzwi. – Aha, jeszcze jedno. Suplicjusz gdzieś się zapodział. Nie było go na wuefie, czy nie wiesz, co się z nim stało, nie ucieka chyba przede mną?

– Przed tobą nie – odparł Obara – tylko przed Okullą. Z początku krył się tutaj, ale nie czuł się dość bezpiecznie i znalazł lepsze miejsce.

– Jakie?

– Zgadnij!

– No, nie wiem. Szatnia? Ustępy?

– Nie, tam najpierw szukają. Wybrał takie miejsce, żeby Okulli najtrudniej było zgadnąć, żeby go w żadnym wypadku nie skojarzyła z nim, Suplicjuszem.

– Siedzi skulony w szafie w gabinecie Okulli – wypaliłem.

Obara roześmiał się.

– Nie zgadłeś. Pomogę ci. On siedzi dość wygodnie w dużym, jasnym pomieszczeniu, coś trzyma w ręce i porusza drugą ręką...

– Zaraz... nie, to byłoby zbyt śmieszne, chcesz powiedzieć, że Suplicjusz...

– Tak, właśnie tak. Wziął dyżur w kuchni – dokończył Obara – i ponieważ dzisiaj jest czwartek, to skrobie marchewkę.

Pokręciłem głową. Dyżur w kuchni to był nowy pomysł Okulli. Wskutek chronicznego braku pomocy kuchennej wprowadziła dobrowolne dyżury młodzieży w kuchni. Każdy uczeń miał prawo raz w tygodniu urwać się na godzinę z dowolnej lekcji i odrobić pracę w kuchni, co mu się potem zresztą zaliczało na poczet „pracy społecznej". Mimo to amatorów było mało, tym bardziej zdumiało mnie, że Suplicjusz... Czyżby aż tak bał się tym razem Okuli?

– O co właściwie jej chodzi? – zapytałem.

– Komu?

– No, Okulli. Czemu szuka Mirka?

– Chce go wydelegować gdzieś w jakiejś misji. Pigment widział, jak wyciągała z szafy w swoim gabinecie oficjalny strój.

– Oficjalny strój?

– No, przecież wiesz, ubranie reprezentacyjne dla Suplicjusza.

– Ach, ty mówisz o fraku – pokiwałem głową.

– Tak, o fraku.

– Może tylko zrobiła wiosenny przegląd garderoby?

– Nie, frak będzie w użyciu jeszcze dziś – stwierdził stanowczo Obara. – Okulla kazała otrzepać go woźnej i wywietrzyć na balkonie z naftaliny. Jeśli masz sprawę do Suplicjusza, to musisz się pośpieszyć. Suplicjusz lada chwila może być odnaleziony przez Okullę i wyekspediowany w delegację...

Zaniepokojny na serio rewelacjami Obary wyskoczyłem pośpiesznie z sali prób, wybiegłem na dwór i spojrzałem na balkon pokoju gogicznego. Tak, Pigment nie mylił się. Nie było żadnych wątpliwości, że Suplicjusza czeka dziś ważna misja eksterytorialna. Na balkonie wietrzył się jego ciemny, służbowy garniturek, zwany przez uczniów „frakiem".

Jeszcze w jesieni Okulla mianowała Mirka Suplicjusza stałym, acz niezupełnie pełnomocnym przedstawicielem młodzieży naszej szkoły „na zagranicę", to znaczy na wszystkie oficjalne zebrania, narady i spotkania międzyszkolne. Ponieważ nie podobały się jej luźne, wzorzyste swetry, w jakich paradował z właściwą sobie niedbałą elegancją Suplicjusz, a nieraz zachodziła potrzeba nagłego wydelegowania go z misją, wpadła na pomysł „stroju służbowego". Z funduszów Komitetu Rodzicielskiego sprawiła Suplicjuszowi odpowiednie, reprezentacyjne, ciemnogranatowe ubranie, oczywiście według swego gustu, coś w rodzaju smutnego munduru. Normalnie wisiało ono w worku przeciwmolowym w szafie w gabinecie Okulli, lecz w razie potrzeby, po krótkim wywietrzeniu na balkonie, ubierała w nie Suplicjusza; Suplicjusz wkładał je z nieszczęśliwą miną i szedł reprezentować szkołę. Nie trzeba dodawać, że prezentował się w tym stroju nader godnie i korzystnie wyróżniał wśród innych przedstawicieli młodzieży, zyskując dla naszej szkoły uznanie władz oświatowych.

Przerażony perspektywą utraty towarzystwa Suplicjusza na dłuższy czas i zostania z problemami sam jak kołek w płocie, ruszyłem czym prędzej do kuchni na dół.

(Cdn.)

SZKARŁATNA RÓŻA

W tym i w następnych numerach będziemy drukować fragmenty listów nadesłanych w związku z akcją „Szkarłatna Róża 82", ogłoszoną w nrze 19 w ubiegłym roku. Autorzy listów przedstawiają sylwetki swoich ulubionych nauczycieli, zgłaszając ich kandydatury do odznaczenia „Szkarłatną Różą".

Nowym Czytelnikom „Płomyka" wyjaśniamy, że jest to odznaczenie, które przyznajemy już od 14 lat. Otrzymało je dotychczas ponad 300 nauczycieli. Tegoroczni laureaci powiększą tę liczbę. Listę osób, którym przyznana zostanie „Szkarłatna Róża", podamy na zakończenie roku szkolnego.

NAUCZYŁ MNIE KOCHAĆ HISTORIĘ

Nauczycielem, którego bardzo cenię i podziwiam, jest Pan **Józef Tomczyk** z Janowic. Pan Tomczyk był dyrektorem szkoły i uczył dwóch przedmiotów: historii i geografii. Obecnie jest już pierwszy rok na emeryturze. To człowiek, który zasługuje naprawdę na uznanie.

Po wojnie uczył w starym, zniszczonym baraku. Warunki w tej szkole były bardzo ciężkie, toteż pan Tomczyk przy pomocy rodziców postanowił zbudować nową szkołę. Starał się o materiały do budowy, o pracowników i sam własnymi rękami budował nową szkołę.

Gdy budynek był już wykończony, starał się wyposażyć go w sprzęty, pomoce naukowe. Chciał, aby ta nowa szkoła była szkołą z prawdziwego zdarzenia. Zadbał też o jej otoczenie. Obok szkoły posadził mały sad, z którego do dziś korzystamy i podczas zimy na pauzach zajadamy jabłka z „naszego" sadu. Przed szkołą zostały posadzone tuje, świerki i krzewy ozdobne, a między drzewami rosną kwiaty, które sieją i pielęgnują uczniowie. Mamy kilka rabat z pięknymi różami. Pod okiem pana Tomczyka róże te przycinaliśmy, okrywaliśmy na okres zimy i dzięki wspólnej pracy nasza szkoła, szczególnie latem, ma piękne otoczenie.

Pan Tomczyk był wspaniałym nauczycielem. Umiał tak zorganizować lekcję, że nie była nudna. Na każdej lekcji było dużo humoru. Zawsze w nawiązaniu do tematu z historii opowiadał nam jakąś anegdotkę historyczną i wtedy lepiej zapamiętywaliśmy różne fakty i wydarzenia. Interesował się nie tylko nauczaniem. Często przychodził na nasze zbiórki i zabawy harcerskie; wówczas bawił się razem z nami, czasem opowiadał jakąś gawędę, pomagał nam w rozwiązywaniu różnych konfliktów.

Cenię Go również za to, że był wyrozumiały dla wszystkich uczniów. Gdy na lekcji historii czy geografii mieliśmy jakieś sprzeczne poglądy, wtedy nie szczędził czasu, żeby nam takie sprawy dobrze wytłumaczyć.

Pan Tomczyk nauczył mnie kochać historię. W przyszłym roku wybieram się do L.O. o profilu humanistycznym, a w przyszłości chciałabym zostać nauczycielką i uczyć historii. Pan Tomczyk na pewno zasługuje na „Szkarłatną Różę", bo jest to człowiek, z którego należy brać przykład. Nie tylko ja tak sądzę, inni uczniowie również by to potwierdzili.

Anna

„PAN CHEMIK"

Rok temu skończyłem VIII klasę i w związku z akcją „Szkarłatna Róża" postanowiłam napisać o nauczycielu, który cały swój wolny czas poświęcał uczniom, ich sprawom i kłopotom. Teraz, kiedy jestem w średniej szkole, uzmysłowiłam sobie, jak wiele dla nas zrobił.

Pana **Leszka Pawelskiego** poznaliśmy trzy lata temu. Przyszedł do nas na początku roku szkolnego. Przyjęliśmy go niezbyt serdecznie. Wiadomo, nowy nauczyciel każdemu wydał się groźny i srogi. W naszej klasie miał uczyć chemii. Prawie cała klasa nie cierpiała tego przedmiotu, więc każdy bał się, że znowu zjawi się oschły, wymagający nauczyciel. Ale ogromnie i miło się rozczarowaliśmy, bo oto nowy „chemik" zaczął ciekawie wprowadzać nas w świat dotychczas nie znanej chemii. Od tej pory z niecierpliwością czekaliśmy na te lekcje.

Przychodziliśmy na zajęcia z radością i ożywieniem. Robiliśmy masę doświadczeń. Szalenie miło było stać w białym fartuchu i wykonywać najróżniejsze doświadczenia. Pan zawsze wszystko dokładnie nam tłumaczył. Potrafił zainteresować nawet najgorszego lenia. Ci, którym szły gorzej ścisłe przedmioty, niekoniecznie chemia, zgłaszali się do Pana. Zawsze miał dla nich czas i wolną chwilę. Umiał nawet najtrudniejsze zadania tak wytłumaczyć, że stawały się jasne i nieskomplikowane.

Nasz Pan prowadził też zajęcia SKS i drużynę harcerską.

Pan „chemik" był pierwszą nicią, która połączyła pokój nauczycielski z uczniami. A kiedy przyszły wakacje, pomógł nam zorganizować niezapomniany biwak. Chciałoby się również w średniej szkole mieć takich nauczycieli!

„Urszula" ze Szczecinka

POTRAFI PRZYZNAĆ RACJĘ...

W ciągu wielu lat mojej szkolnej edukacji poznałam różnych nauczycieli, których darzę ogromnym szacunkiem. Schylam przed nimi głowę w podziękowaniu za pedagogiczny trud.

Spośród grona moich nauczycieli chciałabym przedstawić do odznaczenia „Szkarłatną Różą" mgr **Alicję Łastowiecką**, moją obecną wychowawczynię w Liceum Zawodowym w Zespole Szkół Zawodowych „Montochem" w Gliwicach.

Jest bardzo wymagająca, zarówno w stosunku do siebie, jak i do innych. Mimo że codzienne życie smaga ją tak, jak i każdego z nas, mimo że ma na pewno własne kłopoty i troski, nigdy tego po sobie nie pokazuje. Jest w szkole zawsze uśmiechnięta, nie skarży się na nic, stara się zrozumieć innych i pomóc im.

W I kl. liceum, kiedy została naszą wychowawczynią, dała nam swój numer telefonu i powiedziała: „Możecie dzwonić zawsze, kiedy pragniecie powiedzieć mi to, co w tej chwili jest dla Was najważniejsze, kiedy potrzebujecie pomocy lub rady. Dzwońcie bez względu na dzień i porę". I tak jest do dzisiaj. Kiedy skończy się jakiś konkurs czy zawody, kiedy ogłoszone zostaną wyniki – najpierw dzwonimy do Niej, by podzielić się radością lub smutkiem.

Aby najtrafniej scharakteryzować Jej sposób postępowania z nami, można przytoczyć słowa J.W. Goethego: „Sporo rzeczy można osiągnąć surowością, więcej przyjaźnią, a najwięcej wyrozumiałością i bezstronną sprawiedliwością, nie wyróżniając nikogo".

Jest osobą bardzo sumienną i wytrwale dążącą do celu. Jeżeli coś postanowi zrobić, żadna siła temu nie przeszkodzi. Przygotowując z nami programy artystyczne, zawsze powtarza: „Jeżeli mamy z czymś wystąpić, to z czymś porządnym; jeżeli mamy wystąpić z byle czym, to nie warto w ogóle występować".

Ile długich wieczorów spędziliśmy wspólnie na próbach kółka recytatorskiego, które prowadzi! Ile przyjemnych chwil przeżyliśmy podczas występów naszego kółka! Kiedy nas na scenie ogarniała trema, wystarczyło spojrzeć na Nią – spokojną, opanowaną, uśmiechniętą. Wówczas człowiekowi momentalnie robi się lżej, bo wie, że nie jest sam. Lekcje języka polskiego, które prowadzi, nie są przekazywaniem suchego materiału. Wzbogaca je recytacjami, a jeżeli wyniknie ciekawa dyskusja i nie zdążymy jej skończyć – wiemy, że po lekcjach Pani chętnie z nami zostanie, chociażby kosztem własnego czasu. Dzięki Niej klasa razem bywa na sztukach teatralnych lub w Operetce.

Jako nauczycielkę cenię ją najbardziej za to, że potrafi przyznać się, że czegoś nie wie, oraz potrafi przyznać nam rację, gdy ją rzeczywiście mamy.

Już za kilka miesięcy zdamy maturę i rozejdziemy się każdy w inną stronę, ale myślę, że dla wielu z nas Pani Łastowiecka pozostanie w pamięci jako wzór nauczyciela-wychowawcy.

Przedstawiając postać mej Wychowawczyni, ukazałam drobne sprawy z życia szkoły. Ktoś uzna, że to może nieważne, ale przecież właśnie z drobnych spraw składa się całe nasze życie.

Harcerka z IV licealnej

Wejdź proszę do ogrodu myśli po kwiat rozwiązania

ZDZISŁAW NOWAK

Pustynna twierdza

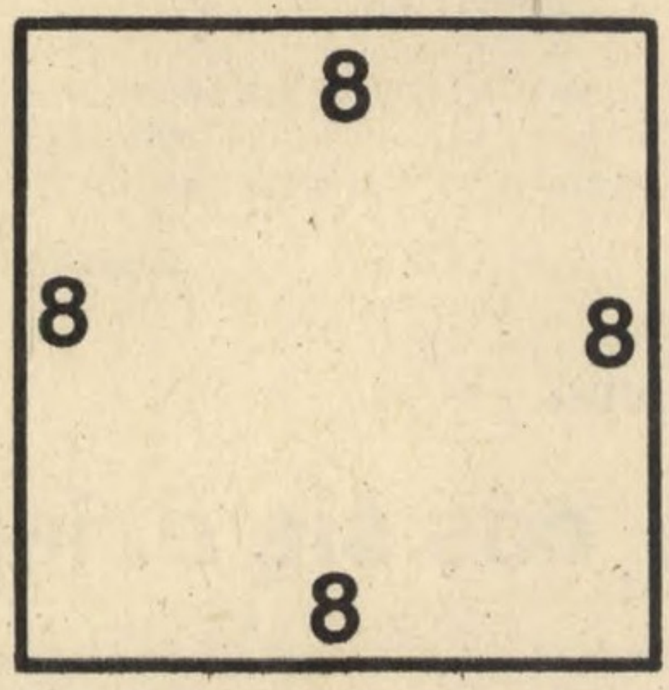

Niewielkiej twierdzy w piaskach pustyni Kara-kum broniło trzydziestu dwóch wojowników emira (ustawionych – jak widać na szkicu – po ośmiu wzdłuż każdego z boków forteczki). Pewnego popołudnia dwunastu z nich ruszyło w pościg za szajką zbójecką. Hodża Nasreddin, który akurat tego dnia gościł w twierdzy, zapewnił dowódcę, że potrafi tak rozstawić pozostałych wojowników, aby w dalszym ciągu każdego z czterech boków fortecy broniło po ośmiu zbrojnych. Czy to w ogóle możliwe? A jeśli tak, to w jaki sposób można tego dokonać?

Dziwny obrazek

Wielu z Was zna zapewne zagadkę widoczną na rysunku z numerem 1? Tak, to niedźwiedź włażący na drzewo (widać mu tylko łapy, ponieważ wchodzi od tej drugiej strony). Teraz popatrzcie na drugi rysunek. Co też może oznaczać? Mądry Hodża prosi Was wszystkich, abyście spoglądali na rysunek z lekko przymrużonym okiem.

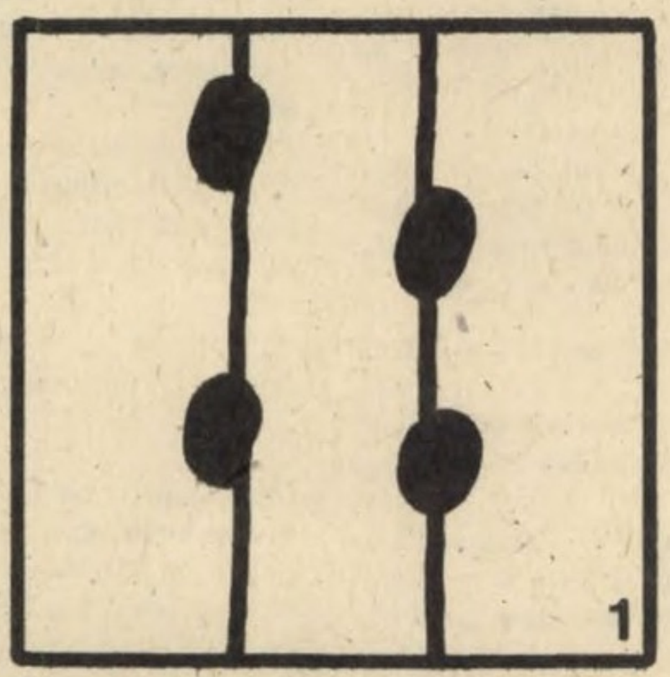

Przygoda w Czarnych Piaskach

Doświadczenie ludzi sędziwych potwierdza się za każdym razem podczas przeprawy przez pustynię Kara-kum; jeśli gdziekolwiek na ziemi istnieje piekło, to z pewnością jest ono tutaj. Już przy leciuteńkim tchnieniu wiatru wierzchołki barchanów zaczynają dymić piaskowym pyłem, zaś przy większych podmuchach tumany żółtawej kurzawy w okamgnieniu zmieniają świat nie do poznania. Mimo bezchmurnego nieba jasny dzień ogarniają ciemności. W gęstym mroku nikt nie potrafi ustalić położenia słońca na niebie. Wysilając oczy z trudem można dostrzec zarysy najbliższych wydm i pagórków. W takich warunkach nawet najbardziej doświadczony przewodnik traci orientację. Kości zbłąkanych ludzi i zwierząt bielejące pośród pustyni świadczą o tym najlepiej.

Przewrotny los sprawia, że nie zawsze jest się panem swego czasu. Prawdę tę poznał Hodża Nasreddin na własnej skórze, kiedy w najgorętszym miesiącu z poufnym poleceniem władcy musiał udać się na dwór heracki.

Podążającej do Heratu karawany los nie oszczędził. Najpierw zaatakował ją wicher afgański, a potem wściekła burza. Ryk wichru narastał z każdą minutą, pogłębiały się ciemności. Wielbłądy drżące z przerażenia pokładły się w gromadzie, jak mogły pochowały głowy przed atakiem rozpalonej, ostro siekącej piaskiem kurzawy. Kiedy wreszcie burza oddaliła się przenosząc wzgórza z miejsca na miejsce, zauważono, że kilka nieostrożnych wielbłądów zniknęło bez śladu.

Na próżno rozbiegli się poganiacze na wierzchołki pobliskich barchanów, na próżno nawoływali zwierzęta garbonośne po imieniu. Jedyną odpowiedzią na krzyk ludzi był chichot hien.

– Czekanie na nic się nie zda. Ruszamy w dalszą drogę – wrzasnął naczelnik karawany, po czym zwrócił się do bogatych kupców: – Część ładunków pozostałych po zaginionych wielbłądach będziecie musieli nieść na własnych plecach, o czcigodni. Wybierajcie więc, co kto woli z tamtych bagaży.

Hodża Nasreddin nie zwlekając, zbliżył się do sterty koszy.

– Ja ten wezmę, karawanbaszo. Spośród kupców jestem chyba w najlepszej sytuacji, bo nie muszę dźwigać przed sobą dodatkowego ciężaru.

Bogaci kupcy popatrzyli zezem na mędrca. Rzeczywiście, olbrzymie brzuszyska nie ułatwiały im pieszej wędrówki. Co będzie, kiedy w dalszą drogę wyruszą z towarem na grzbiecie?

Tymczasem Hodża ku zdziwieniu wszystkich podjął z ziemi ogromny kosz z żywnością, dwukrotnie cięższy od pozostałych. Z trudem zarzucił go sobie na ramiona. Popędzani przez karawanbaszę w ślad za Hodżą podążyli kupcy. Pojękując wybierali co lżejsze pakunki, wypełnione prasowaną chińską herbatą, skórami karakułowymi, bucharskim jedwabiem.

Wreszcie ruszono dalej. Pokpiwając z mędrca, którego osławiona roztropność nie ustrzegła przed dźwiganiem najcięższego kosza, siedmiu opasłych kupców kroczyło na przedzie ze swym ładunkiem. Od czasu do czasu oglądali się do tyłu, by wybuchnąć śmiechem. Widok naiwnego mędrca uginającego się pod najcięższym pakunkiem, działał na nich jak znakomity środek rozweselający.

Hodża nie zwracał uwagi na docinki kupców. Dźwigał ciężar bez stękania, patrząc pod nogi, aby nie nastąpić na któregoś z jadowitych wężów, poszukujących w popłochu nor zasypanych przez burzę. Za wszelką cenę starał się zachować pogodę ducha. Wiele dni przecież karawana będzie jeszcze wędrować przez piaski pustyni. A kto wie, co się może przytrafić jutro lub za tydzień? Świat jest pełen nieszczęść, które w każdej chwili mogą zwalić się na głowy podróżnych. Burza i jadowite gady to nie są jedyne przykre niespodzianki zagrażające karawanie w Czarnych Piaskach.

* * *

Czy w takiej sytuacji trud podjęty przez Hodżę Nasreddina był nadaremny? Czy słusznie kupcy śmiali się z niego, kiedy wziął na swe plecy największy ciężar – kosz z jedzeniem?

Odpowiedzi szukajcie na innej stronie

List w sprawie samorządu uczniowskiego

W Człuchowie zawsze coś się dzieje!

Od dłuższego czasu śledzę na łamach „Płomyka" to, co pisze się na temat pracy samorządów uczniowskich.

Muszę stwierdzić, że niewiele chyba jest szkół, w których młodzież autentycznie „rządzi", w których czuje się współgospodarzem.

Kogo winić za taki stan rzeczy? Młodzież zapewne zauważy, iż to nauczyciele nie pozwalają na zbyt samodzielną działalność, że torpedują jej poczynania, projekty na urozmaicenie szkolnego życia.

Chcę przedstawić w kwestii pracy samorządu swój punkt widzenia: nauczycielki, byłej opiekunki Rady Samorządu Uczniowskiego Szkoły Podstawowej nr 3 w Człuchowie. Obecnie jestem zastępcą dyrektora szkoły.

Funkcję opiekuna samorządu z polecenia rady pedagogicznej pełniłam około 8 lat, mam więc pewne doświadczenie i mnóstwo spostrzeżeń z pracy tej organizacji.

Najważniejszą sprawą były autentyczne, demokratyczne wybory. Każdy kandydat na przewodniczącego RSU i na innych funkcyjnych musiał przedstawić swój program działania, odpowiadać na liczne pytania wyborców.

Z reguły wybór był trafny, a przewodniczący w trakcie swej rocznej pracy tak działał, by być lepszym od poprzednika.

Do kierowania rówieśnikami w pracy organizacji trzeba mieć pewne predyspozycje, trzeba poważnie traktować swoją funkcję i być konsekwentnym we wszelkich poczynaniach.

Przewodniczący niewiele potrafi zdziałać w pojedynkę. Potrzeba mu do pomocy innych funkcyjnych. W czasie wyborów do RSU robiliśmy więc od razu przydział do odpowiednich sekcji: imprez i rozrywki, dekoratorskiej, informacji, nauki, dyżurów, czynów społecznych.

Zadaniem przewodniczącego i jego zastępców:

1) do spraw klas I–III (Pacholąt),
2) do spraw klas IV–VI (Paziów),
3) do spraw klas VII–VIII (Dworzan),

było czuwanie nad prawidłowym funkcjonowaniem sekcji, rozliczanie z wykonanych zadań, pomoc w rozwiązywaniu problemów. Jeżeli okazało się, że kierownik danej sekcji nie zdaje egzaminu, nie potrafi pracować, to (na prośbę jego lub członków sekcji) dokonywaliśmy wyboru następnego kierownika.

Muszę przyznać, że początkowo opiekuństwo nad RSU pochłaniało mi sporo wolnego czasu, musiałam częstokroć „zmuszać" uczniów do „rządzenia". Nie zawsze też nasze poczynania podobały się nauczycielom, ale szybko to minęło. Pozostała satysfakcja z wielu wykonanych zadań, na trwale ustalonych w kalendarzu szkolnym – imprez, akcji. Wzbogaciliśmy ceremoniał szkolny. Wprowadziliśmy nowe zwyczaje:

1) powitanie pierwszoklasistów „rogami obfitości",
2) wręczenie szkolnych „Orderów Uśmiechu",
3) „Święto Pieczonego Ziemniaka",
4) Andrzejki,
5) akcja „Radość pod choinką", która w Roku Dziecka 1979 r. przeistoczyła się w przepiękną akcję „Serca człuchowian – dzieciom" (na rzecz PDD w Wierchowie),
6) „Imieniny Szkoły" itd...

W mojej praktyce – jako opiekuna RSU – był jeden przewodniczący „z krwi i kości" – Adaś Kalinowski, obecnie uczeń LO. Tak odpowiedzialnego, zaangażowanego w sprawy szkoły i młodzieży ucznia nie mieliśmy jeszcze i... chyba długo mieć nie będziemy (był przy tym wzorowy w nauce!).

Każde zadanie dla RSU traktował poważnie, potrafił rozliczać swoich „podwładnych" jak urodzony pedagog, a co ważne – potrafił dyskutować z Radą Pedagogiczną – z pełnym szacunkiem, ale jak równy z równym.

Kiedy w Imieniny Szkoły został (w ramach przekazania władzy) jednodniowym dyrektorem szkoły, tak kierował „personelem", że dorosłych zadziwiał swoimi decyzjami, taktem, kulturą...

Do dziś nauczyciele wspominają Adama i jego klasę 8a – wyjątkowo zgraną, „zarażoną" społecznym działaniem. Do tej klasy wchodziło się z przyjemnością... Taki jest głos „belfra" wspominającego, jak pracował ze wspaniałą młodzieżą, dzięki której w szkole zawsze coś się działo!

Obecnie już drugi rok naszym szkolnym samorządem opiekuje się młoda koleżanka – mgr Bożena Rzeszuta. Samorząd pracuje na pełnych obrotach i wszędzie go pełno.

Maria Danuta Kordykiewicz
Szkoła Podstawowa nr 3 w Człuchowie

Dziękujemy za ciekawy list, który postanowiliśmy wydrukować, przecież stanowi cenne uzupełnienie ROZWAŻAŃ O SAMORZĄDZIE, prowadzonych przez SENIORA (od zeszłorocznego nru 18). Chcielibyśmy, żeby w tej wymianie doświadczeń zabrali głos również JUNIORZY, szczególnie z tych szkół, w których – jak w Człuchowie – „zawsze coś się dzieje". A więc, może następcy Adama napiszą, jak wygląda obecnie ich działalność: co nowego wymyślili w tym roku, jaka impreza lub kierunek działania daje najlepsze rezultaty i największą satysfakcję. Ciekawi też jesteśmy, co sądzą o rozważaniach „Seniora". To zaproszenie do zabrania głosu w sprawach samorządu kierujemy do wszystkich: DO NAUCZYCIELI I DO UCZNIÓW.

SAMORZĄD i SAMORZĄDNE życie

Ratuj się, kto może!

Znam pewną klasę w pewnej warszawskiej szkole, gdzie działa „Rozumek". Niewielka, kilkuosobowa grupa dobrych uczniów zmówiła się, żeby podciągnąć w nauce swych kolegów. Różnych używają sposobów i wcale nie wymyślnych: pomoc bezpośrednia (wspólne uczenie się), doraźne fachowe porady, a także pomoc psychologiczna, czyli wspólne poszukiwanie przyczyn – co może przeszkadzać „dwójkarzom" w uzyskiwaniu lepszych stopni. Nazwali się „Rozumkiem" nie dlatego, że zjedli wszystkie rozumy, ale dlatego, że koleżeńską pomoc chcą traktować rozumnie.

Sam, będąc kiedyś nauczycielem, zachęcałem swych uczniów, żeby zorganizowali sobie coś w rodzaju takiej „samopomocy". Wiecie, co mi odpowiedzieli? Coś mniej więcej tak: „Może pan wyznaczy tych, którzy będą pomagać, i wskaże, kto ma się ich słuchać..."

Przyznam, że ręce mi opadły. Co słowo, to jakaś pomyłka. Ja, nauczyciel, mam wyznaczać dobrodziejów, którzy na mój rozkaz będą pomagać innym? Ci zaś, którzy są w potrzebie, mają na mój rozkaz słuchać wytypowanych pomocników? Niestety, w mojej klasie nie powstał „Rozumek". Zabrakło po prostu zrozumienia, na czym polegać ma „samopomoc koleżeńska".

Ten felieton nazwałem: „Ratuj się, kto może!". Brzmi to – szczególnie pod koniec roku szkolnego – dramatycznie i rozpaczliwie. Ale przecież dla każdego, kto już wie, że będzie miał trzy dwóje, że bez pomocy nie poradzi sobie z nauką, to jest sytuacja i dramatyczna, i rozpaczliwa! Jak się ratować?

Niektórym pomagają rodzice. Sami albo przez opłacanych korepetytorów. Większość jednak nie może na to liczyć. Jedni próbują sami jeszcze walczyć, inni wpadają w przygnębienie i rezygnację. Wtedy – to już koniec! **Kto pogodził się z przegraną, ten już przegrał**, choćby miał jeszcze pewne szanse. A jeśli są takie szanse? (Póki rok szkolny trwa, zawsze jeszcze są, „dopóki piłka jest w grze", jak mawiają futboliści).

Trzeba działać, lecz nie w pojedynkę. A jeżeli zespołowo, to w tym momencie bardzo potrzebny jest samorząd w klasie, który nie pozwoli, żeby wśród Was byli tacy, którzy żyją w strachu o swój los, i żeby nikt nie wyciągnął do nich ręki.

Co może zrobić samorząd? Może zebrać się i razem z wychowawcą klasy ustalić, komu potrzebna jest pilna pomoc. Może umówić się z zagrożonymi, że będą się oni uczyć razem z dobrymi uczniami, np. raz czy dwa razy w tygodniu. Gdzie? – może u jednego z kolegów, może za każdym razem u kogo innego. A może poproście o zgodę na zostawanie w szkole po lekcjach?

Uwaga: dobrze jest, jeśli zbiera się dwóch, trzech, najwyżej czterech, jeśli więcej – trudno będzie się skupić. Czy towarzystwo może być mieszane, czy też osobno chłopcy, a osobno dziewczęta – pozostawiam to Waszemu uznaniu. Sami też musicie znaleźć metodę skutecznego „wbijania" wiedzy do głowy. Chciałbym natomiast przypomnieć, że o wiele lepiej wchodzi do głowy nauka, gdy uczeń **uwierzy w siebie**. A więc musicie tę wiarę obudzić w swoich podłamanych psychicznie kolegach. Znacie ich i sami wiecie (nawet lepiej od nauczycieli), że mają kłopoty nie dlatego, że są głupsi albo że nie nadają się do szkoły, lecz dlatego, że im się nie chciało uczyć... Chodzi o to, żeby przy Waszej pomocy poczuli chęć do pracy. Bez tego nie da rady. A więc Wasza pomoc musi polegać nie na wyręczaniu, robieniu za kogoś, lecz powinno to być wspieranie, dopingowanie, budzenie chęci i wiary we własne siły. Nic tak człowieka nie podbudowuje, jak świadomość, że sam sobie daje radę.

– „Ależ my nie wyręczamy! My pomagamy!" – wołają mnogie rzesze dobrych kolegów, takich, którzy i bez „Rozumka" wrażliwi są na cudzą biedę. Ale jak to jest naprawdę? Ta wasza pomoc przejawia się najczęściej w postaci dawania ściągi lub podpowiadania, a rzadko kiedy w postaci oferty: „odróbmy to razem w domu". Ja rozumiem, że łatwiej (bo prędzej) dać komuś „gotowca", niech spisze. A tak – trzeba ślęczeć nad cudzymi błędami, kilka razy tłumaczyć jak zawodowy korepetytor.

...A właśnie, że nie korepetytor! Korepetytor naucza, uzupełnia braki. A tu chodzi o to, żeby Wasz kolega sam się nauczył, sam wyrównał opóźnienia. Jeśli ty uczysz się dobrze, pokaż, jak odrabiasz lekcje. Od czego zaczynasz, na czym kończysz, z czego korzystasz. I niech sam spróbuje. Może zacznie pracować tak, jak ty, a może znajdzie swój sposób, który będzie najlepszy dla niego – dla jego rodzaju pamięci, temperamentu, zainteresowań itp. Póki zaś jeszcze nie zaniósł swej pracy do szkoły, przeczytaj to, co napisał, i skrytykuj (bez złośliwości!), niech sam poprawi. **Niech sam się ratuje jak może! A ty pomagaj, ale nie ratuj go bez jego aktywnego udziału!**

Taka pomoc da lepsze rezultaty niż zbiorowe błagania w klasie:

– Proszę pani, niech mu pani daruje, on się nauczy!... Chociaż „trzy z minusem", my mu pomożemy, my za niego gwarantujemy!..."

– A dlaczego wcześniej nie pomyśleliście, żeby mu pomóc? – ma prawo zapytać pani.

A więc pomyślcie, póki jeszcze czas. Moglibyście i wy spytać siebie, dlaczego dopiero teraz o tym myślicie, kiedy już słychać ostatnie dzwonki. Ale lepiej nie pytać, lecz uruchomić w klasie samorządową pomoc dla tych, którzy tego pilnie potrzebują.

SENIOR

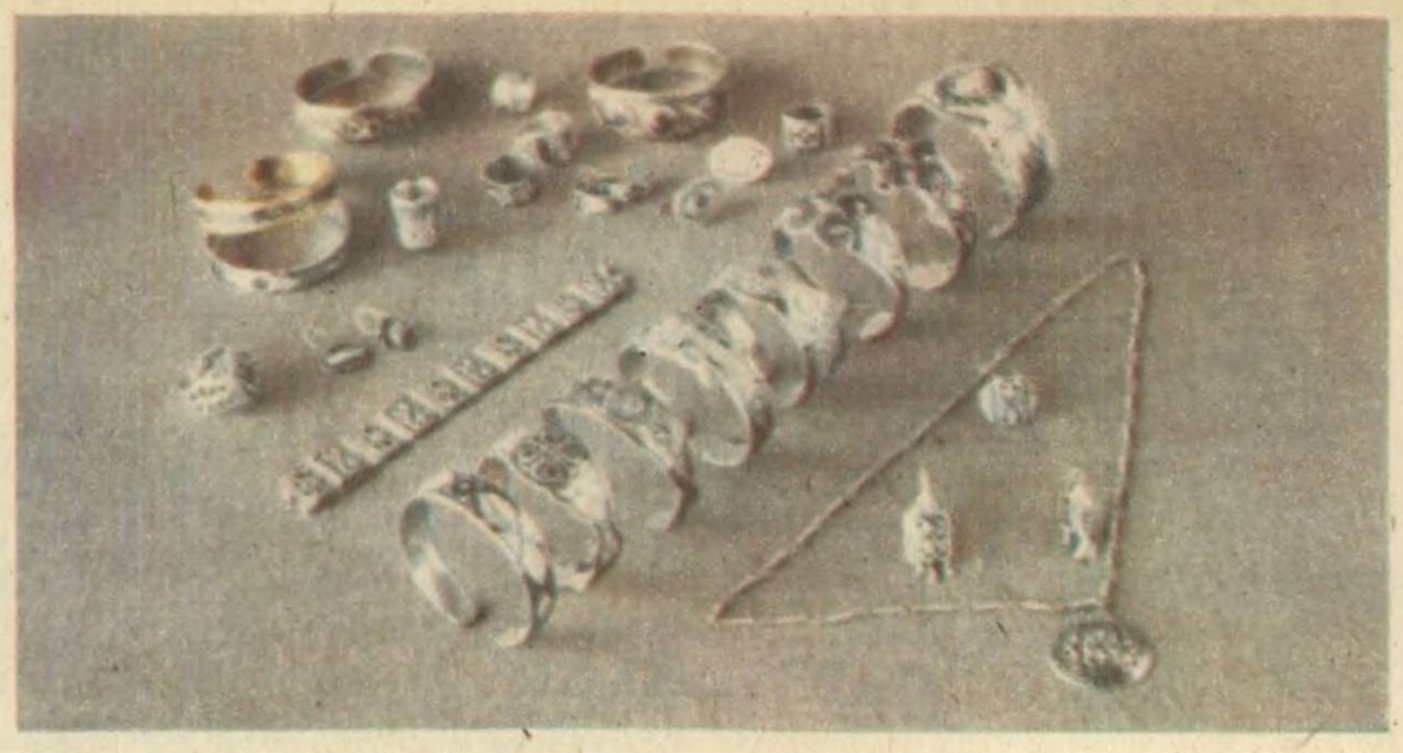

CIEKAWE ZABAWNE NIEZWYKŁE

„Białe złoto" – tak nazywali srebro starożytni Egipcjanie, którzy wiele tysięcy lat temu potrafili je otrzymywać z rudy i przerabiać na piękne ozdoby i monety. Do dziś biżuteria ze srebra budzi zachwyt i przyciąga oczy każdego, kto ogląda takie na przykład cudeńka, jak te, wykonane w Osetyńskiej Republice w ZSRR.

Eksperci oceniają, że w ciągu 5 tysięcy lat wydobyto na świecie prawie milion ton srebra, z czego trzy czwarte na półkuli zachodniej, a połowę z owych trzech czwartych w ubiegłym stuleciu.

Gdyby odlać ten metal tak, jak to się przeważnie robi na potrzeby banków, w trzykilogramowe sztabki o zawartości 99,9% czystego kruszcu, można by z nich ułożyć czteropasmową autostradę długości 20 kilometrów i grubości 30 cm. Gdyby to wydobyte srebro podzielić między wszystkich ludzi na całym świecie – starczyłoby go na wykonanie dla każdego po dwa noże, widelce i łyżki...

Ze srebra robi się wiele różnych przedmiotów ozdobnych do użytku codziennego i biżuterii. Można je przetapiać i przerabiać wielokrotnie, ponieważ straty metalu przy tych operacjach są bardzo małe. Srebrne kolczyki, pierścionki czy broszka mogły więc być przed wiekami ozdobną łyżką, wazą lub np. judaszowymi srebrnikami.

Popyt na srebro wzrósł bardzo w ostatnich latach, i to nie na skutek zwiększonego zainteresowania srebrną biżuterią, lecz z powodu wzrastającego zapotrzebowania w różnych gałęziach przemysłu. Srebro jest obok złota i platyny metalem bardzo odpornym na korozję i działanie większości kwasów. Żaden metal nie odbija tak dobrze światła jak srebro, używa się go m.in. do skupiania promieni w kolektorach słonecznych, a także w przemyśle elektronicznym oraz fotograficznym.

Srebro uaktywnia tlen, który zabija bakterie. W niektórych krajach używa się więc do dezynfekcji wody w basenach kąpielowych węgla drzewnego impregnowanego srebrem, związków srebra używa się do dezynfekcji wody pitnej, a także do leczenia oparzeń i ran otwartych.

Srebro jest najlepszym przewodnikiem elektryczności, srebrne druty oplatają więc krzemowe baterie słoneczne, baterie z tlenkiem srebra zasilają aparaty słuchowe, kalkulatory, okręty podwodne i satelity. Kryształki jodu srebra rozpylone w zimnych chmurach powodują opady deszczu lub śniegu.

Nos dla tabakiery czy tabakiera dla nosa? Oczywiście, że tabakiera służy dla nosa. Ale do czego służy nos? Myliłby się, kto by stwierdził, że tylko do wąchania. Jest on przede wszystkim, jak wykazały ostatnie badania, kontrolerem snu. Sygnalizuje bowiem organizmowi wybór takiej pozycji podczas snu, aby odpoczynek mógł być najpełniejszy,

najlepszy. W czasie snu nos ustawia się tak, aby mógł jak najlepiej wentylować powietrze wchodzące do przewodów oddechowych, nawilża je i ociepla. Jeśli więc ktoś przewraca się kilkakrotnie w ciągu nocy z boku na bok, to czyni to właśnie na rozkaz nosa, który wie najlepiej, jakie położenie powinniśmy przybrać w czasie snu.

Złota myśl w ramce

Krótki rozum najłatwiej poznać po zbyt długim języku.

Domowy śpiewak – czyli kanarek przywędrował do Europy jeszcze w XV wieku... oczywiście z Wysp Kanaryjskich odkrytych w 1478 roku przez Hiszpanów.

Ptaki te żyją w stanie dzikim także na Maderze i Azorach, odznaczają się zielono-żółtym upierzeniem z charakterystycznymi czarnymi kreskami na grzbiecie. Takie właśnie kanarki zaczęto hodować w wielu domach w Hiszpanii, we Francji, w Niemczech i Holandii, skąd moda na domowych śpiewaków rozprzestrzeniła się po całym kontynencie. Przedsiębiorczy hodowcy drogą krzyżówek uzyskali z czasem okazy, które w niczym nie przypominają tych ptaków żyjących na wolności. Np. wyhodowano kanarki o upierzeniu białym, żółto-brązowym, plamistym, a nawet czerwonym. W Holandii znane są kanarki o wysokich szczudłowatych nogach, lekko wygiętym grzbiecie i z czubem na głowie. W górach Harcu wyhodowano kanarki o kędzierzawym upierzeniu na piersi i na skrzydłach, ale – co najważniejsze – o wyjątkowo pięknym głosie.

W niektórych krajach organizuje się specjalne konkursy śpiewacze kanarków. Największym uznaniem cieszą się nie pojedyncze okazy, lecz zespoły śpiewacze. Kilka ptaków śpiewających w jednej tonacji. Hodowcy osiągają takie efekty po długim treningu. W tym celu izoluje się kanarka od jakichkolwiek dźwięków, w przeciwnym razie naśladuje on dość szybko dźwięki, które do niego dochodzą. Znane są przypadki, że śpiew kanarka przypominał świergot wróbli lub stuk maszyny do pisania, ponieważ te dźwięki dochodziły do niego dość często.

Aby więc nauczyć młodego kanarka czystych tonów, wpuszcza się do jego klatki nauczyciela, czyli dorosłego, ładnie śpiewającego kanarka. W ten sposób można nauczyć sztuki śpiewania cały zespół kanarków. Na wszelkich konkursach śpiewaczych takie zespoły – kolekcje ptaków śpiewających w jednej tonacji – cieszą się dużym uznaniem i zdobywają zwykle główne nagrody.

JAK DBAĆ O URODĘ?
(Z poradnika prababci)

Są recepty, które nawet po upływie półwiecza nie starzeją się. Dotyczy to zwłaszcza pielęgnacji cery środkami domowymi, które z powodzeniem stosowały nasze babcie, może i prababcie. Oto jeden z przepisów na poprawę cery, podobno wypróbowany również przez słynne gwiazdy filmowe.

● Poszatkować drobno selery (powinno tego być po pokrojeniu 3 szklanki), usiekać taką samą ilość marchewki, dodać 1 szklankę szpinaku (może być rozmrożony), 1/4 szklanki koperku. Jarzyny włożyć do rondla, zalać 2 litrami gorącej wody i gotować przez 25 minut. Po zdjęciu z ognia odcedzić płyn, dodać łyżkę bulionu (z kostki) i szklankę soku pomidorowego. W ciągu dnia trzeba wypić pół litra tego płynu, dzieląc tę ilość na 3 razy. Podobno po takiej kuracji znikają różnego rodzaju wypryski, wągry itp. Tajemnica kuracji polega na spożyciu dużej porcji potasu zawartego w jarzynach.

● Uroda włosów również w znacznej mierze zależy od tego, co jemy. Nasze prababcie, aby mieć włosy lśniące i puszyste, stosowały następującą kurację:
Szklankę owsa zalać litrem gotującej wody na całą noc. Rano zlać wodę, posłodzić ją miodem i pić jedną szklankę dziennie. Zamiast owsa można użyć do tego celu płatków owsianych.

I jeszcze parę różnych przepisów starej daty:

● Kto ma skłonności do odmrażania rąk i nóg, powinien smarować je stale przed wyjściem na dwór olejkiem migdałowym, mocno wcierając go w skórę aż do sucha.

● Jeśli dokucza ci uporczywy ból głowy, powinnaś przez dłuższy czas pić napar z pierwiosnka lekarskiego. Na szklankę wrzącej wody wrzuć łyżeczkę suszonego ziela, zagotuj, odstaw pod przykrywką na 5 minut. Przecedź i pij rano i wieczorem po filiżance.

CZYM POCZĘSTOWAĆ GOŚCI?

Wkrótce są moje urodziny. Proszę więc o przepis na krówki (cukierków na kartki trochę za mało) oraz na tort domowej roboty, niezbyt kosztowny, bo cóż to za urodziny bez tortu?!

Miśka

Domowe krówki

Przygotuj 1,5 szklanki mleka oraz 1,5 szklanki cukru i łyżkę masła. Mleko z cukrem wlewa się do naczynia z grubym dnem i ustawia na niewielkim ogniu, tak żeby doprowadzić do zagotowania. Następnie zmniejszamy płomyk gazu,

żeby masa wrzała powoli. Od czasu do czasu mieszamy ją. Gdy zabarwi się złociście, a kropelka spuszczona na talerz stężeje, odstawiamy naczynie z ognia, dodajemy łyżkę masła i ucieramy masę przez kilka minut. Następnie przelewamy ją na płaski talerz zwilżony zimną wodą i równo rozsmarowujemy słodką masę. Po stężeniu kroimy ją ostrym nożem na kostki.

Tort bezowy

Ucieramy trzy czubate łyżki masła albo margaryny. Osobno ubijamy kogel z 3 żółtek z 9 łyżeczkami cukru. Dodajemy po trochu kogel mogel do ukręconego masła lub margaryny, ciągle mieszając. Wsypujemy 3 czubate łyżeczki kakao albo łyżeczkę kawy. Kiedy już masło z żółtkami całkowicie się połączy na sztywną masę, rozrzedzamy ją po trochu 2 łyżeczkami śmietanki lub niezbyt kwaśnej śmietany. Kupione w cukierni bezy (zamiast bezów można użyć do tortu drobnych piankowych ciastek kupowanych na wagę), rozdzielamy na połówki, układamy na talerzu, a puste miejsca pomiędzy nimi zasypujemy rozgniecioną jedną bezą. Następnie przekładamy je kremem, przykrywamy znów warstwą bezów i po wierzchu cały tort smarujemy kremem. Ozdabiamy go wiśniami lub truskawkami z dżemu, orzechami lub rodzynkami. Tort krajemy nożem zanurzonym w gorącej wodzie.

W CO SIĘ UBRAĆ?

Mam jeszcze zupełnie porządne sukienki i bluzki, które chciałabym jakoś umodnić, nadać im trochę nowego blasku. Wiem, że są teraz bardzo modne różne dodatki (kołnierzyki robione szydełkiem, wstawki do sukni itp.). Bardzo liczę na Waszą pomoc. Myślę, że wiele dziewczyn jest w podobnej sytuacji.

Wiśka

Nie od dziś znaną jest powiedzenie: „Dodatki tworzą modę", uatrakcyjniając różne opatrzone już ciuchy. Obecnie, kiedy z konieczności ograniczać musimy nowe zakupy ubraniowe, dodatki często sprawiają, że wysłużona suknia czy kostiumik nabierają nowej urody. Może to być np. wstawka z babcinej koronki, tworząca w sukni koronkowy dekolt w karo. Może to być jakiś szalik zawiązany wokół szyi na kokardę, oryginalny kołnierzyk zdobiący sukienkę lub żabot z falbankami. Łatwiej zawsze o takie drobne dodatki niż o kawałek nowego materiału. Czasem można coś z takich drobiazgów wypatrzyć w sklepach, czasem wykroić coś ze starej bluzki. Można też wydziergać kołnierzyk z kilku dekagramów bawełnianej włóczki. Popatrzcie na ilustracje, które reprodukujemy z „Burdy" i „Elle", może natchną Was one twórczo, a to pozwoli Wam za przysłowiowy grosik wyglądać świeżo i modnie.

POCZTA »PŁOMYKA«

Szanujmy się!

Mamy niemały kłopot, ponieważ nasz zespół klasowy jest, niestety, niezgrany. Na pewno w tej chwili kiwacie głowami i mówicie „znowu to samo" – ale nam jest naprawdę ciężko. Klasa nasza podzieliła się na dwie grupy (dziewczyny i chłopaki) i po każdej lekcji, szczególnie matematyki (z której jesteśmy słabsze od chłopaków) spotykamy się z docinkami i pogardliwymi uśmieszkami. Nasi „kochani chłopcy" dysponują takimi wyrazami i przezwiskami, że często robi nam się po prostu głupio. Bardzo prosimy o wydrukowanie naszego listu i o radę.

Dziewczyny z klasy VII z Koszalina

Drukujemy, ale rady na razie nie udzielamy. List Wasz zatytułowaliśmy SZANUJMY SIĘ! – takim wezwaniem zakończyliśmy ostatnią, zeszłoroczną „Pocztę" (nr 24), zapraszając Płomykowców do dyskusji nad sposobami zwalczania w szkole wulgarnego słownictwa oraz innych objawów „naruszania norm społecznego współżycia". Są już pierwsze głosy; kiedy zbierze się ich więcej – zajmie się tą sprawą PŁOMYKOWY KLUB DYSKUSYJNY. Musicie sami znaleźć skuteczne sposoby. A w następnym numerze, polecamy Waszej uwadze felieton z cyklu „Samorząd i samo życie" pt. „Od nieporozumienia do konfliktu".

Czy mam paść na kolana?

Na ogół jestem bardzo wesołą dziewczyną, jednak koleżanki z naszej klasy nie lubią mnie (chodzę do VII klasy). Więc najczęściej bawię się z chłopcami; ich towarzystwo odpowiada mi, ale te zabawy powodują ciągłe docinki, śmiechy i plotki ze strony dziewczyn. Czuję, że chciałabym mieć koleżankę, której mogłabym się zwierzyć, porozmawiać o sprawach, o których nie można mówić z chłopcami. Nieraz, gdy docinki są bardzo dokuczliwe, chce mi się płakać, ale przecież nie będę beczała przy chłopakach. Czemu one mnie nie lubią? Gdy się do którejś odezwę, robi głupią minę i odwraca się tyłem. A przecież, gdyby znalazła się choć jedna, która by mnie zrozumiała i zaczęła się ze mną kolegować, okazałoby się, na pewno, że nie jestem złą koleżanką.
Co mam robić? Czy przestać kolegować się z chłopcami? Nie, to niemożliwe, zanudziłabym się na śmierć. Paść na kolana przed dziewczynami i błagać, by mnie polubiły i zaczęły się ze mną kolegować? Czy wreszcie nic nie robić, zostawić rzecz tak jak jest i dalej być gnębioną przez dziewuchy?

Rozżalona Baśka

Tak to, niestety, bywa w klasach podzielonych na odwracające się do siebie plecami połowy: męską i żeńską. Kto czyni wyłom w tym podziale – jest bojkotowany. Nie trzeba chyba udowadniać, że takie podziały nie przynoszą pożytku żadnej stronie. Taki rozłam zaczyna się czasem od całkiem drobnego nieporozumienia między paroma osobami. Nie wyjaśnione nieporozumienie coraz bardziej psuje atmosferę i powstaje ogólny trwały konflikt. A Ty jesteś ofiarą tego konfliktu. Nie padaj przed nikim na kolana, natomiast poszukaj sobie koleżanki w innej klasie, gdzie nie obowiązuje stan wojenny pomiędzy chłopcami a dziewczętami.
Podobny konflikt na tle „kolegowania z kolegami", związany ze sposobem bycia niektórych dziewcząt, opisują dwie ósmoklasistki:

Chłopcy nas lubią

Z chłopakami z naszej klasy żyjemy w zgodzie i przyjaźni. Nie jesteśmy ładne. Nasze koleżanki są ładniejsze od nas, ale mimo to koledzy nie przyjaźnią się tak z nimi. Przed lekcjami wszyscy koledzy przychodzą do ławki, w której my siedzimy, i rozmawiamy na różne tematy. Reszta dziewczyn nie może na nas patrzeć, gdyż nie jesteśmy takie jak one: nie chcemy z nimi chodzić do kawiarni i nie chcemy palić papierosów. Za dobrze się nie uczymy, zdarzają się trójе i dwóje, ale nasi chłopcy nas lubią i my o tym wiemy.
Nie możemy zrozumieć tego, że inne dziewczyny udają „bohaterki" i palą. Przekonałyśmy kilka dziewczyn, że to nie ma sensu w taki sposób popisywać się dorosłością, bo to jest naprawdę ohyda, kiedy dziewczyna pali... Może jak wydrukujecie ten list, to również inne dziewczyny przekonają się, że można się przyjaźnić z kolegami bez popisywania się paleniem. Trzeba po prostu być sobą i zachowywać się normalnie.

Dwie ósmoklasistki

Czy aby nie oczerniacie trochę koleżanek? Wygląda na to, że nic innego nie robią tylko chodzą po kawiarniach i palą papierosy, żeby przypodobać się chłopcom, którzy i tak wolą się z Wami przyjaźnić...

Brawo „Boński"!

Jesteśmy uczennicami klasy VI Szkoły Podstawowej im. Stanisława Staszica w Czerwonce. Uczymy się nie najgorzej, ale najbardziej interesuje nas piłka nożna. Niedawno założyłyśmy drużynę piłkarską, która liczy jedenaście dziewcząt. W jej skład wchodzą: Anka (bramkarz) Marta (kapitan), Elka, Halina, Baśka, Gienia, Bożena, Kryśka, Dorota, Jolka, Helena. Trenerem jest nasz kolega Romek.
Teraz jest chłodno, więc spotykamy się na treningu tylko dwa razy w tygodniu. Gramy piłką gumową, a gdy nam nauczyciele pozwolą, to bierzemy szkolną piłkę nożną. Jak było jeszcze ciepło, to grałyśmy z chłopcami po lekcjach. Chłopcy chętnie przyjmowali nas do gry, a nawet nam pomagali w trudnych sytuacjach.
Często prosimy panią, żebyśmy grały na wuefie w piłkę nożną. Nasza pani jest taka dobra, że prawie zawsze nam pozwala, a czasem nawet gra z nami i często wbija gole.
Bardzo byśmy chciały, żeby nasz list został wydrukowany, aby nie myślano, że ganiać za piłką potrafią tylko chłopcy.

„Boński" z Czerwonki

Wszystko sobie biorę do serca

Mam poważny kłopot. Nasza klasa liczy 29 osób, w tym 16 chłopaków, a wśród nich jest jeden, który bardzo mi się podoba. Rozmawiam z nim rzadko. Po prostu wstydzę się go i nie potrafię z nim rozmawiać jak z innymi.
Byłam u niego na imieninach. Koledzy, którzy także przyszli, poruszali bardzo poważne tematy. On zadał mi w pewnej chwili kłopotliwe pytanie, na które nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Gdy w poniedziałek spotkaliśmy się w szkole, zamurowało mnie, bo przy odpowiedzi z matematyki podpowiadał mi jak zawsze. A tego, co powiedział na imieninach, chyba nie pamiętał. Ale ja jestem taka, że wszystko biorę sobie do serca. Jak wytłumaczyć sobie jego zaczepkę na imieninach?

„Czternastolatka"

Nie piszesz, o co Cię spytał, a więc trudno stwierdzić, czy to rzeczywiście była złośliwa zaczepka, czy po prostu pytanie, jak każde inne. Skoro zaś następnego dnia dał dowód swej życzliwości – to nie przejmuj się jednym niefortunnym pytaniem. A swoją drogą warto, żebyście częściej nawiązywali rozmowę. Tego też trzeba się nauczyć!

Pułapka

Mam 14 lat. Poznałam chłopaka: chodziliśmy ze sobą rok. Było bardzo fajnie. Na początku roku zaprosił mnie na wieczorek, który miał się odbyć u niego w domu. Na wieczorku miały być dwie koleżanki i koledzy. Kiedy przyszłam o godz. 20°°, nie zastałam kolegów i koleżanek, był sam. Gdy tylko weszłam, zamknął drzwi. Najpierw był bardzo miły, potem pocałował mnie i... zaczął odpinać mi bluzkę. Zaczęłam krzyczeć. Powiedział: „Cicho, kiciu, nikt cię tu nie usłyszy" (jego willa stoi daleko od innych domów). Wtedy uderzyłam go w twarz. Powiedział mi parę brzydkich słów i wypuścił na dwór. Tak skończył się ten wieczór. Teraz chodzi z moją koleżanką.

„Sarna"

List drukujemy ku ogólnej przestrodze. Nawiasem mówiąc, nastolatkowy wieczorek nie powinien się zaczynać o godz. 20. Gdybyś przed pójściem porozumiała się z innymi, którzy rzekomo byli zaproszeni – nie wpadłabyś w pułapkę. Istnieje też dobry zwyczaj, że rodzice zapraszającego na prywatkę porozumiewają się z rodzicami zapraszanych, biorąc odpowiedzialność za to, że nie dojdzie do podobnych niespodzianek.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ ZE STR. 25

Przygoda w Czarnych Piaskach. Naturalnie, kupcy niepotrzebnie drwili sobie z Hodży Nasreddina. Hodża postąpił rozumnie dźwigając na ramionach kosz z żywnością, cięższy o piętnaście kilogramów od pozostałych ładunków. Mędrzec zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że ciężar niesiony przez niego – w przeciwieństwie do innych worków i koszy – będzie się zmniejszał z każdym dniem. Wiele dni drogi oczekiwało jeszcze karawanę, a jeść i pić wędrowcy muszą przynajmniej dwa razy w ciągu dnia.
Pustynna twierdza. Sposób rozstawienia pozostałych wojowników wzdłuż czterech ścian forteczki pokazujemy na rysunku.
Dziwny obrazek. Są to cztery myszki, które schowały się przed deszczem pod kapeluszem muchomora (naturalnie, widok na rysunku był ujęty z góry).

3	2	3
2		2
3	2	3

231 Giełda hobbistów

1. *Iwona Andrzejczuk*, lat 14, filatelistyka, piosenki, moda, sport – ul. Młynarska 22/40, 08-110 Siedlce
2. *Jolanta Aras*, muzyka, humor, widokówki – ul. Poniatowskiego 6/92, 37-450 Stalowa Wola
3. *Dorota Azoł*, lat 15, muzyka, piosenki, poezja, przepisy kulinarne – ul. Leyka 23/46, 12-100 Szczytno
4. *Wiesława Bałka*, lat 14, muzyka, jęz. rosyjski, pocztówki (zwierzęta) – 82-560 Kisielice
5. *Mariola Bandura*, lat 14, filatelistyka, sport, muzyka rockowa, moda – ul. Sienkiewicza 2, 42-624 Tąpkowice
5. *Maria Bania*, lat 13, fizyka, jęz. rosyjski, muzyka, piosenki – 38-249 Kryg 33
7. *Katarzyna Baran*, lat 13, kwiaty (hodowla), znaczki – 05-124 Skrzeszew 80a
8. *Małgorzata Białczak*, lat 12, pocztówki, rysunki, opakowania od czekolad – Rupin, 06-325 Jastrząbka
9. *Mariola Bielska*, lat 13, muzyka, plakaty, moda, piosenkarze – ul. Sucharskiego 1a/29, 75-355 Koszalin
10. *Karina Bil*, lat 13, fizyka, matematyka, poezja, muzyka – ul. Karłowicza 5/2, 41-506 Chorzów-Batory
11. *Joanna Binięda*, lat 14, muzyka, moda, widokówki, naklejki – 27-311 Tymienica Nowa 33
12. *Lucyna Brzosko*, lat 12, filatelistyka, proporczyki, nalepki – ul. Gen. Prądzyńskiego 10/3, 16-300 Augustów
13. *Elżbieta Brzostowska*, lat 15, muzyka, moda, widokówki – ul. Roretanacka 1 (Bursa 1), 18-500 Kolno
14. *Ewa Brzozowska*, lat 13, filatelistyka, plakaty (piosenkarze, zespoły), pocztówki – ul. Olsztyńska 41/2, 14-100 Ostróda
15. *Bogusława Caputa*, lat 13, tenis stołowy, muzyką, piosenkarze – Jaszczurowa 1, 34-106 Mucharz
16. *Małgorzata Chont*, lat 12, maskotki, znaczki, widokówki – ul. Rataja 3/10, 10-201 Olsztyn
17. *Arkadiusz Chwałek*, lat 12, filatelistyka, naklejki, majsterkowanie – 39-452 Wola Baranowska 224
18. *Karina Ceglarska*, lat 15, widokówki, piosenkarze, wróżby – ul. Energetyków 4/4, Ruda Śl. 6, 41-706 Halemba II
19. *Aleksandra Darnikowska*, lat 12, świnki morskie, humor, przepisy kulinarne – ul. Pułaskiego 10/26, 91-033 Łódź
20. *Beata Deja*, lat 15, znaczki, muzyka, płyty – ul. Orla 58/2, 85-301 Bydgoszcz
21. *Danuta Drewniak*, lat 14, widokówki, moda, piosenki – Wichów 16, 68-113 Wrzesiny
22. *Jacek Dubiel*, lat 14, turystyka, piłka nożna, widokówki – Andrzejów 11[a], 23-302 Godziszów
23. *Olimpia Fiszer*, lat 14, archeologia, historia (Polska) – ul. 22 Lipca 38/6, 62-510 Konin
24. *Jolanta Gałuszka*, lat 15, geografia, muzyka, moda – Os. Pawlikowskiego 9[d]/3, 44-240 Żory
25. *Marian Gasztych*, lat 15, filatelistyka pocztówki (malarstwo), piosenkarze – Al. Marcinkowskiego 13/22, 63-600 Kępno
26. *Beata Gaweł*, lat 14, muzyka dżezowa, pocztówki (zwierzęta) – ul. Poniatowskiego 9/21, 37-450 Stalowa Wola
27. *Piotr Gawłowski*, lat 15, historia, muzyka rockowa, sport – ul. Przy Kaszowniku 41/15, 87-100 Toruń
28. *Renata Gęsikowska*, lat 13, filatelistyka, moda, pocztówki (psy, koty) – ul. E. Płoskiego 8/78, 09-400 Płock
29. *Barbara Giezek*, lat 14, matematyka, widokówki, znaczki – Bliskowice, 27-634 Świeciechów
30. *Janusz Giluk*, lat 14, jęz. angielski, wędkarstwo, aparaty fotograficzne – ul. Główna 7/1, 78-611 Szwecja
31. *Anna Gorlikowska*, lat 14, muzyka, znaczki, maskotki – 76-223 Stowięcino
32. *Agata Grabowska*, lat 12, naklejki, znaczki, obrazki święte, widokówki – Giełczyn 30, 18-307 Laskowiec
33. *Ewa Grządziel*, lat 13, moda, przepisy kulinarne, nalepki – ul. Sobieskiego 12, 32-200 Miechów
34. *Agnieszka Gwizdak*, lat 13, filatelistyka, rybki, nalepki, piosenki – Dąbrówka 203, 37-100 Łańcut
35. *Andrzej Haenel*, lat 12, akwarystyka, okręty wojenne, prospekty – ul. Powstańców Wlkp. 10, 64-360 Zbąszyn
36. *Maria Hepel*, lat 12, znaczki (bajki, zwierzęta), piłka nożna, piosenki – ul. Kręta 15, 66-111 Nowe Kramsko
37. *Anna Hola*, lat 15, numizmatyka, filatelistyka, karty pocztowe, muzyka – ul. Długa 14, Żarki-Letnisko
38. *Stanisława Jania*, lat 14, skecze, wiersze do pamiętnika, znaczki, widokówki – 34-633 Mszana Górna 233
39. *Aneta Jankowiak*, lat 13, filatelistyka, moda, piosenkarze – Julianpol 5, 46-325 Rudniki
40. *Barbara Janocha*, lat 14, muzyka, plakaty, piosenki – ul. M. Nowotki 19, 38-460 Jedlicze
41. *Anna Januszek*, lat 14, muzyka, plakaty, zwierzęta, sport – ul. Górnicza 4/2, 58-530 Kowary
42. *Tomasz Jezierski*, lat 12, historia (średniowiecze – rycerze, uzbrojenie, zamki), Indianie – ul. Brochowskiego 20, 52-151 Wrocław
43. *Alicja Kapała*, lat 14, filatelistyka, piosenki, sport – Sokolniki 35, 39-434 Trześń
44. *Jolanta Kapała*, lat 14, historia starożytna, znaczki, wykroje krawieckie, sport – 43-378 Rybarzowice 378
45. *Ewa Karpińska*, lat 14, książki, muzyka, piosenki – ul. Lipperta 9[B]/32, 12-100 Szczytno
46. *Anna Kobryńska*, lat 13, pocztówki, książki (o zwierzętach) – ul. Obr. Wybrzeża 2/25, 83-000 Pruszcz Gd.
47. *Irena Kołtan*, lat 14, poezja, sport, moda, zespoły muzyczne – ul. Górnicza 4/7, 58-530 Kowary
48. *Beata Kordowska*, lat 15, matematyka, chemia, piosenkarze – 87-719 Otłoczyn 15
49. *Elżbieta Kowal*, lat 14, matematyka, wiersze do pamiętnika, piosenkarze – ul. 1 Maja 97/5, 44-206 Rybnik
50. *Rafał Kowenicki*, lat 13, matematyka, historia, kulturystyka – ul. Zielińska 20/6, 31-227 Kraków
51. *Iwona Krzyżostaniak*, lat 14, muzyka, opowiadania (fantastyka), moda – ul. Dębska 8/44, 05-822 Milanówek
52. *Krystyna Kulikowska*, lat 14, muzyka, płyty, psy – ul. Podleśna 5[a]/57, 15-227 Białystok
53. *Agata Kułak*, lat 13, moda, widokówki – Brzozowa 29, 16-200 Dąbrowa Białostocka
54. *Alicja Lemik*, lat 14, maskotki, gliniaczki, muzyka, plakaty – 76-223 Stowięcino
55. *Dariusz Lewicki*, lat 14, II wojna światowa, modelarstwo, sport – Os. Konstytucji 3 Maja 1[a]/20, 67-100 Nowa Sól
56. *Aleksandra Malanowska*, lat 14, filatelistyka, pocztówki (zwierzęta), – ul. PKWN 5/4, 90-019 Łódź
57. *Ewa Marcinkowska*, lat 15, pływanie, książki, piosenkarze, moda – ul. Mazowiecka 11/13 m. 51, 97-200 Tomaszów.
58. *Beata Martynow*, lat 13, książki, Henryk Sienkiewicz, piosenki – ul. Rataja 3/2, 10-201 Olsztyn
59. *Adam Michalak*, lat 15, fotografika, muzyka, zespoły rockowe – ul. Rynek 18, 96-100 Skierniewice
60. *Katarzyna Miller*, lat 12, UFO, samochody, przepisy kulinarne – Al. Jerozolimskie 141/134, 02-304 Warszawa
61. *Stefania Młynar*, lat 13, filatelistyka, malarstwo, widokówki – Rozdziele 31, 38-249 Kryg
62. *Bogusław Mnich*, lat 13, geografia, filatelistyka, sport – ul. Krucza 14, 43-130 Imielin
63. *Ewa Nizielska*, lat 12, jęz. polski, pocztówki, znaczki, wiersze do pamiętnika – ul. Wolności 25, 06-323 Jednorożec
64. *Marzena Nowacka*, lat 15, poezja, humor, muzyka – Lewice 32, 72-320 Trzebiatów
65. *Agnieszka Olichwier*, lat 13, zoologia, widokówki, piosenki – ul. Paplińskiego 25/4, 05-200 Wołomin
66. *Teresa Orzeszka*, lat 14, sport, pocztówki, piosenkarze – Łozowo 7, 16-207 Różanystok
67. *Bożena Ostachowska*, lat 14, historia, muzyka rockowa, pająki – ul. Lelewela 2/5, 30-108 Kraków
68. *Monika Osterska*, lat 15, II wojna światowa, lotnictwo, sport obronny, Indianie – ul. Pogodna 5/50, 87-800 Włocławek
69. *Magda Olszewska*, lat 13, fizyka, zespół MAANAM, naklejki – ul. Reja 11/6, 27-210 Starachowice
70. *Andrzej Para*, lat 12, sport, znaczki, pocztówki – Dąbie 85, 33-223 Zdziarzec
71. *Iwona Pawełkiewicz*, lat 14, esperanto, rysunki, muzyka, piosenki – Zawada 59, 97-200 Tomaszów Maz.
72. *Mariola Ponieważ*, lat 15, plakaty, znaczki, widokówki, muzyka rockowa – ul. Anny 1/3, 72-015 Police
73. *Danuta Powchowicz*, lat 15, balet, książki, przepisy kulinarne – ul. Staszica 31/8, 65-176 Zielona Góra
74. *Krystyna Przybyłowicz*, lat 13, filatelistyka, widokówki – 38-249 Kryg 137
75. *Anna Sekuna*, lat 13, przepisy kulinarne, moda, piosenki – ul. Proletariacka 16/10, 18-500 Kolno
76. *Grzegorz Serafin*, lat 15, znaczki, piłka nożna, muzyka – Lipiny, 05-317 Jeruzal
77. *Anna Skrycka*, lat 15, pocztówki (psy, konie, koty), nalepki – 23-2020, Wilno, Pawilnius, ul. Tolimoij 20-1, LSRR
78. *Adriana Stachniuk*, lat 13, znaczki, widokówki, proporczyki – ul. Niepodległości 146[c]/9, 75-255 Koszalin
79. *Ala Stankiewicz*, lat 12, naklejki, widokówki, znaczki, poczta Suderwie, wieś Michaliszki, Wileński rejon, LSRR
80. *Magdalena Sobala*, lat 14, matematyka, krzyżówki, łamigłówki – ul. Staszica 73, 27-123 Parszów
81. *Elżbieta Spocińska*, lat 13, humor, karate, widokówki trójwymiarowe – ul. Warszawska 29, 26-425 Odrzywół
82. *Barbara Stolicka*, lat 15, plakaty, znaczki, muzyka rockowa – ul. Ogrodowa 6, 72-015 Police
83. *Katarzyna Stus*, lat 12, zoologia, sport, muzyka rockowa – ul. Zakręt 6/1, 26-600 Radom
84. *Jacek Szczepański*, lat 13, sport, filatelistyka, wędkarstwo – ul. Rolnicza 12/42, 33-100 Tarnów
85. *Janina Szlufarska*, lat 14, historia Polski, widokówki, znaczki, tenis – Korytków 60, 26-407 Gowarczów
86. *Andrzej Sztandera*, lat 12, historia, biologia, znaczki – Lubomyśl 44, 68-200 Żary
87. *Mirosława Szudrowicz*, lat 13, filatelistyka, proporczyki, humor – ul. M. Sydowa 4/2, Os. Rubinkowo III, 87-100 Toruń
88. *Tomasz Szumski*, lat 15, muzyka rock (dyskografie, biografie zespołów) – ul. Cicha 9, 09-130 Baboszewo
89. *Joanna Szymańska*, lat 14, chemia, geografia, zwierzęta – ul. Walcownicza 38[h], 04-921 Warszawa
90. *Agnieszka Szymaszek*, lat 13, chomiki, świnki morskie, akwarystyka, sport – ul. Słonimska 54/1, 15-029 Białystok
91. *Małgorzata Tokarska*, lat 14, UFO, widokówki, moda, sport – ul. Górna 21[a], 68-204 Bieniów
92. *Monika Tokarska*, lat 14, zagadki, zioła lecznicze, przepisy kulinarne, UFO – ul. Górna 21[a], 68-204 Bieniów
93. *Maria Turbiarz*, lat 15, filatelistyka, muzyka rockowa, piosenkarze – Sokolniki 41, 39-434 Trześń
94. *Robert Wąchała*, lat 14, sport, piosenkarze, znaczki – Raków 36, 66-205 Rosin
95. *Bożena Wiączek*, lat 14, kwiaty, moda, muzyka, książki – ul. Grunwaldzka 12/38, 76-270 Ustka
96. *Krystyna Wilk*, lat 12, historia, widokówki – ul. Wolności 23, 06-323 Jednorożec-Stegna
97. *Roman Zajko*, lat 12, modelarstwo, samochody, piosenkarze – ul. Smętka 22[a]/22, 11-500 Giżycko
98. *Jacek Zodrow*, lat 15, muzyka, jęz. francuski – ul. Kasprowicza 18/17, 11-100 Lidzbark Warmiński
99. *Joanna Żonko*, lat 12, filatelistyka, muzyka, pocztówki – Jeleń, 78-446 Silnowo
100. *Aneta Żydło*, lat 13, muzyka, znaczki, widokówki – 38-249 Kryg 298

Prenumerata na rok 1983

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie	– 72 zł
półrocznie	– 144 zł
rocznie	– 288 zł

WARUNKI PRENUMERATY:

● **dla prenumeratorów indywidualnych:**
– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach poczt. i u doręczycieli;
– osoby zamieszkałe w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych przy użyciu „blankietu wpłaty", na rachunek bankowy Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw w Warszawie, ul. Towarowa 28, nr konta NBP XV Oddział w Warszawie, Nr 1153-201045-139-11.
Wpłaty na prenumeratę indywidualną na konta przedsiębiorstw RSW należy dokonywać wyłącznie w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania prenumeratora.

● **dla instytucji i zakładów pracy:**
– instytucje i zakłady pracy w miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", zamawiają prenumeratę bezpośrednio w tych oddziałach;
– instytucje i zakłady pracy w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach poczt. i u doręczycieli.

● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Wajszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

● **Termin przyjmowania prenumeraty** na kraj i za granicę: na III kwartał i II półrocze – do 31 maja; na IV kwartał – do 31 sierpnia.

METRYKA NUMERU
Dwutygodnik dla młodzieży
25 lutego 1983 – Warszawa
Skład oraz druk wykonały
Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego"
w Warszawie.
Nakład 250 300 egz.
Zamówienie nr 452/CD M-80
ADRES REDAKCJI
00-950 Warszawa
ul. Spasowskiego 4
skrytka poczt. 380
INDEKS: 36876

Kto się kąpie w tej zabytkowej fontannie?

Jak się nazywa miejsce, gdzie wzniesiono ten pomnik?

Jak się nazywa ta XV-wieczna budowla?

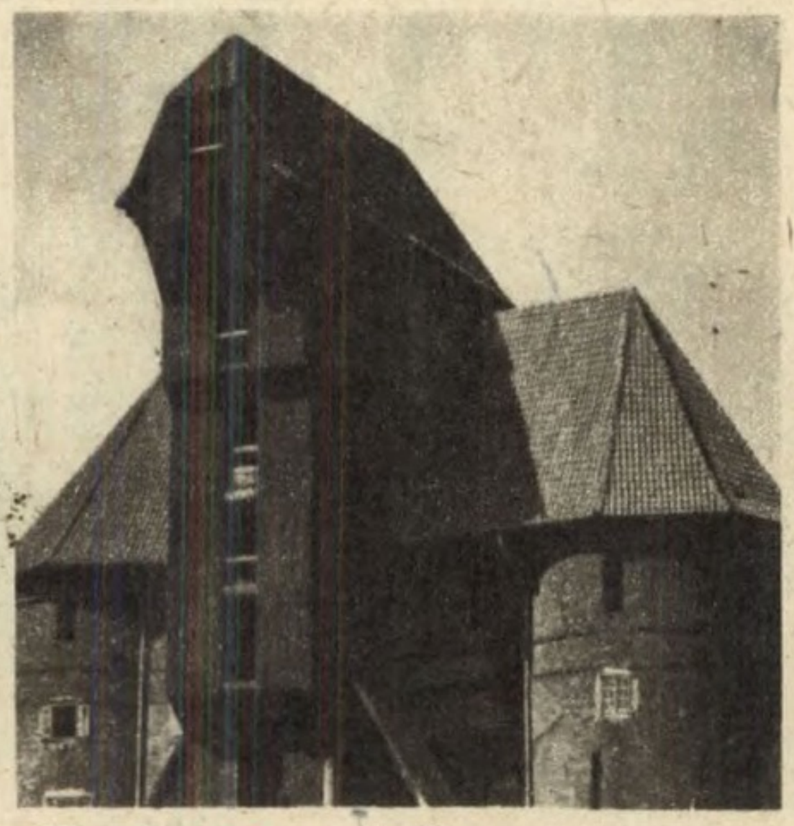

Jaką wspólną nazwę mają te trzy miasta?

co to? gdzie to?

FOTO-ZAGADKA KRAJOZNAWCZA

Jaką nazwę nosił pierwszy zbudowany tu po wojnie statek?

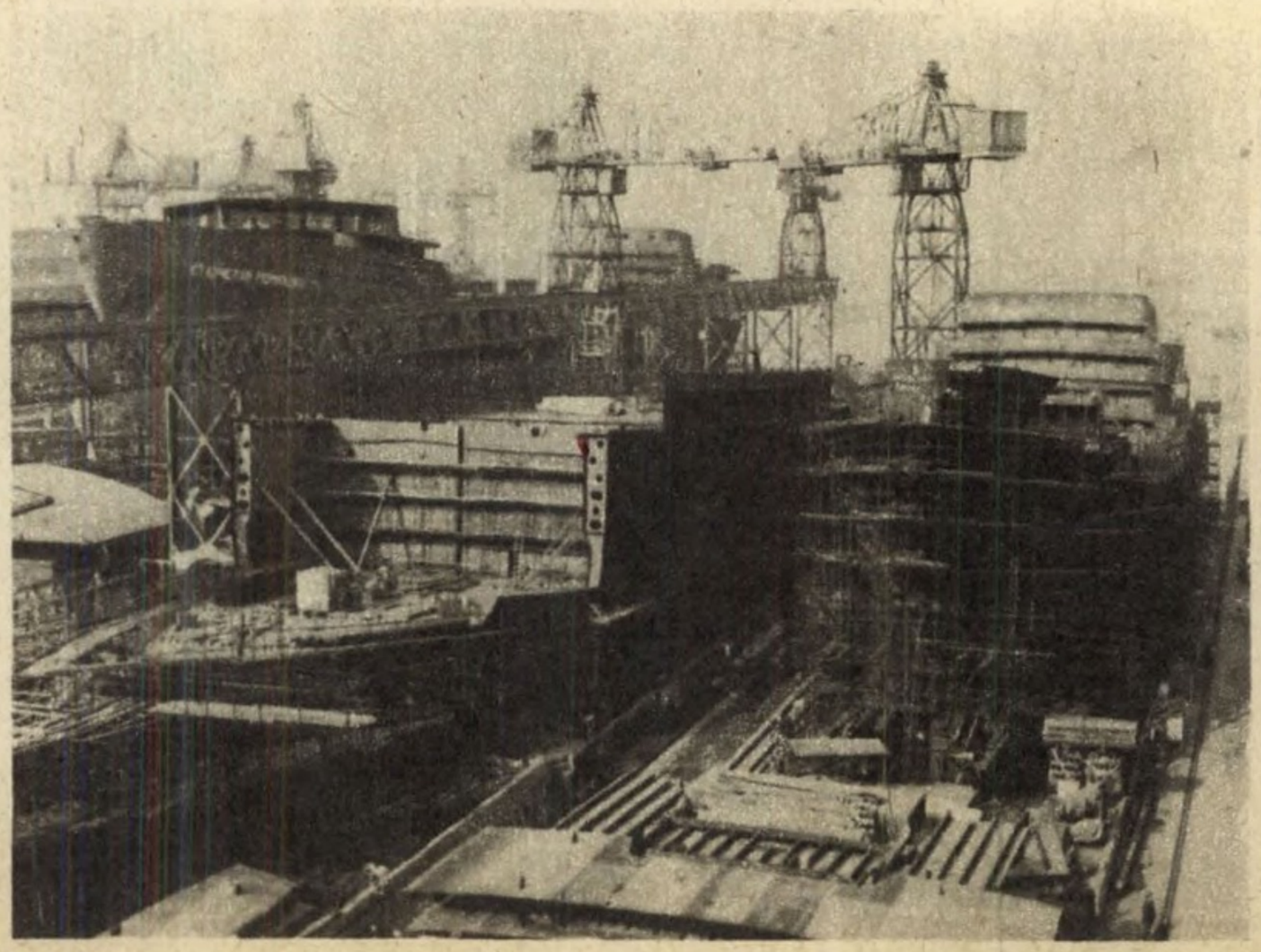

Jakiego miasta dotyczy ta zagadka – odgadnąć nietrudno. Trzeba jednak odpowiedzieć jeszcze na pięć pytań, wpisując odpowiedzi w puste pola. Z liter, które wypadną na barwnych polach, należy ułożyć dwuwyrazową nazwę jednego z najsłynniejszych w tym mieście zabytków. Nazwa tego zabytku stanowi ROZWIĄZANIE ZAGADKI.

Pomiędzy tych, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe. Rozwiązania nadsyłajcie na kartkach pocztowych pod adresem: „Płomyk", ul. Spasowskiego 4, 00-950 Warszawa, skr. poczt. 380.

CENA
12 zł